TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. Nr 30 (230)
Łódź, 29. VII 62 r.
Cena
1 zł

odgłosy

TEN NUMER ZAPOWIADA SIĘ CIEKAWIE!

Które śmieci lepsze?

W okresie letnim nasze społeczeństwo dzieli się na dwie zasadnicze części: wczasowiczów i pilnowaczy domów rodzinnych. Obie części tym się między innymi charakteryzują, że okrutnie sobie zazdroszczą. Jest to uczucie, i owszem, całkiem ludzkie, ale zupełnie nieuzasadnione. Twierdzę tak z całą odpowiedzialnością za słowa, ponieważ byłem już cząstką obu części.

Najpierw o dobrodziejstwach pilnowania domu. No, więc najpierw ta cisza, zegary chodzą jak chcą, śpisz dokąd ci się podoba, jesz bez przerwy jaja na kiełbasce i gryziesz pomidory. Pycha, co? Dziesięć jaj dziennie robi trzysta w skali miesiąca, pomidorów wypada piętnaście kilo. W restauracji „setka" do obiadu z westchnieniem ulgi, jaką daje wolność. W domu, już wieczorem, wraz z kilkoma innymi stróżami ogniska po pięć setek na głowę do kolacji, albo i więcej. To robi w skali miesiąca... nie, nie powiem, musimy być solidarni. W dobrowym towarzystwie, przy kurtach włączamy sobie telewizję, albo nie. Wolność, moi drodzy! Własna żona nie może ci przecież kazać, żebyś słuchał audycji dla niedobrych rodziców, bo jej nie ma, a cudza żona nigdy ci takich audycji nie zaproponuje. To samo z radiem. Czytasz sobie kryminały wolny od wstydu przed żoną i dziećmi, które sobie wczasują, wykorzystujesz swobodny dostęp do pornografii. To odmładza.

Oczywiście, nie ma róży bez kolców. Mieszkanie posiada smutną właściwość, szybko zamienia się w stajnię, jeżeli nie zmywać, nie trzepać, odkurzać, froterować, i właśnie wtedy, kiedy próbujemy przekonać samych siebie, jak drogi jest nam porządek w domu — przychodzi zazdrość. Znam to uczucie na wylot. Garnki, psiakość, rdzewieją, nawet szczotka ryżowa im nie pomaga, myszy tańczą twista po kuchni, śmierdzi przedwczorajsza szynka, zlew się zatkał, światło wyłączyli, wszędzie kurzu na dwa palce, a Zinka sobie wczasuje z dzieciakami.

No, i bęc, walimy na te wczasy. Co do mnie — powiedziałem sobie: jak się rujnować to się rujnować, jadę do Sopot. Za wszystko płacę, wszystko mi muszą podsunąć pod nos, za pieniądze nawet w Polsce można odpocząć.

Zazdrość przeszła mi w ciągu dwóch dni. Zostałem zaliczony na turnusie do grupy II i III podgrupy, która otrzymała określone stoliki w stołówce i musiała jadać w określonych co do minuty półgodzinach. Inaczej cerber zamykał drzwi wejściowe i koniec. Wstawało się więc na komendę, siadało, jadło. Chryste Panie, jak się okropnie jadło! A to już wskutek burzliwego rozwoju techniki. Partyjni musieli przy jedzeniu słuchać wiadomości, więc radio warczało na pełny regulator, ku radości kaowca, który w ten sposób załatwiał kontakt mas wczasujących ze światem. Młodzież też się musi wyszumieć, ma prawo do życia, czy nie? Pewnie, że ma, więc adapter grzmiał podczas posiłku bez przerwy, aż ciężkie kąski w gardle stawały. Ponieważ jest w Polsce wolność — poszczególni wczasowicze podgrywali sobie indywidualnie na własnych szarotkach. Co kto

Dokończenie na str. 5

O „PARYŻU POŁUDNIA"

Czytaj na str. 5

Budapeszt — widok ogólny

JAN BĄBIŃSKI

POTIOMKIN straszy w Radomsku

Kowalowiec, nowe przedmieście Radomska.

Obok chałupinki płaskiej niczym garaż, pretensjonalna willa. Tuż przy pękatej jak baryłka parterówce, dwupiętrowy dom o strzelistym, niemal katedralnym sklepieniu. Dom przy domu, rozłożyste karły i wielkoludy o karykaturalnych proporcjach. Mnóstwo ich, a każdy budynek inny. I te dachy, dwuspadowe, siodłowe, łamane w połowie, mansardowe, baniaste, kopułowe... Każdy inny — z dachówki, blachy cynkowej, eternitu, papy. Gdy patrzę się z oddali — dachy lecą w przestrzeń pokracznym zygzakiem. Wyglądają jak przyłożona do ulicy olbrzymia piła o nierównych wyłamanych zębach. Przy szczytach domów tak zwane naczółki, wyglądające jak spłaszczone nosy. W samym środku każdego niemal budynku tkwi facjatka — okno z wysuniętym daszkiem, przypominającym przydrożne kapliczki.

Wszędzie — czy dom szeroki lub wąski, piętrowy lub parterowy — wszędzie od frontu spogląda na przechodnia para weneckich okien. Manieryczny wystrój od przodu, kult dwóch okien weneckich. Te okna ścigać was zresztą będą, dokądkolwiek się udacie. Nowe budynki mieszkalne na łódzkiej wsi, każdej, też mają dwa okna weneckie od przodu...

Kowalowiec, istne morze domków jednorodzinnych o wynaturzonych kształtach. Wpierw postawiono ich kilka, to one, jak trujące grzyby nie wyrwane w porę, zaraziły sąsiednie parcele. Przerażający widok niechlujstwa, bałaganu, tandety, braku oka gospodarza... W pobliżu biegnie szosa na Wieluń. Przy niej mającą kilkupiętrowe bloki, trzy ukończone, dwa są w budowie, pod dalsze dwa kopie się fundamenty. Patrzcie tylko dokąd to bloki zawędrowały!

Towarzyszący mi architekt zauważył z sarkazmem:

— Potiomkinowska wioska, prawda?

W istocie, teraz dopiero połapałem się w czym rzecz. „Chapeaux bas" przed ojcami Radomska, radni wykazali dużo sprytu. Zdecydowali się pewnie z ciężkim sercem wystawić najokazalsze w mieście gmachy na odludziu. Architekt śmiał się głośno, wtórowałemu mu. Te kamienice przy autostradzie zasłaniały sobą jak kurtyną radomszczański „bidonville" — osiedle pokrakę, stawiane byle jak, bez ładu i składu. Na to osiedle spuszczono od strony uczęszczanej szosy zasłonę w postaci wielkich budynków, zwartych w bryle. Pomysł wart byłby uwieńczenia, gdyby Potiomkin nie żył ciut wcześniej.

Widmo Kowalowca prześladowało mnie przez długi czas. A jak jest gdzie indziej? Budownictwo mieszkaniowe już dawno wyszło za rogatek Łodzi, rozlewa

Dokończenie na str. 4

ANDRZEJ BRYCHT

Niepotrzebni, którym odejść nie wolno

Przed paru laty na łamach prasy społeczno-kulturalnej, a także codziennej i specjalistycznej rozgorzała dyskusja na temat potrzeby współpracy wszystkich niemal dziedzin przemysłu z plastykami o ukończonej specjalizacji zawodowej. Wszyscy na ogół zgadzali się co do tego, że forma wytwarzanych produktów nie powinna wzbudzać u odbiorcy oporów natury estetycznej, a przeciwnie, nowoczesnym kształtem i odpowiednio stosowaną barwą przyciągać nabywców.

Wyobraźmy sobie nowoczesny przemysł samochodowy bez współpracy artystów — stylistów projektujących nadwozia, wyobraźmy sobie przemysł odzieżowy bez współpracy plastyków — projektantów. Jakież to wozy — straszydła poruszałyby się po ulicach, jakież okropne stroje zmuszeni bylibyśmy nosić, a jak wyglądałyby pióra wieczne, zegarki, aparaty fotograficzne, meble w mieszkaniach, a same mieszkania, a domy, a ulice i miasta... Strach pomyśleć. Wszystko, cokolwiek nas otacza musi być stworzone i zorganizowane z troską o walor estetyczny, a troska ta jest rzeczą artysty-plastyka.

W efekcie ogólnej, dramatycznej dyskusji wiele gałęzi przemysłu zdecydowało się dopuścić plastyków do współpracy.

Przyszło to z trudem, ponieważ parę lat temu kierownicy produkcji, dyrektorzy przedsiębiorstw, tak jak i znaczna część społeczeństwa, mieli zakorzenione sądy (właściwiej: przesądy) o „nic-wartości" plastyków, o ich obrazoburczych postawach wobec naszej rodzimej produkcji, o ich „rewolucyjnych" w stosunku do tej produkcji zamiarach.

Wynikało to po części z odbijającego w owym czasie od reszty młodzieży stylu bycia studentów uczelni plastycznych, z ich nie najlepszej popularności u tzw. „ustawiaczy" (czytaj: usztywniaczy) życia młodzieżowego, a także ze struktury połączeń przemysłu i handlu. Nie tyle z samej struktury, ile ze sposobu jej pojmowania przez wygodnickich urzędników tegoż handlu i tegoż przemysłu.

Myśleli bowiem „producenci": „stanowimy koncern, jeśli więc handel nie zaakceptuje naszych wzorów, to i tak od nikogo nie dostanie nic lepszego".

Myśleli „handlowcy": „lepiej przyjmować buble, bo przynajmniej wiadomo, jak planować zyski, bo wiadomo jaki jest gust odbiorcy, a jeśli pokaże się bodaj krótka seria lepszych modeli, nabywca się znarowi i będzie czekał na lepsze, nie wykupując gorszych".

Rozumowanie logiczne, przyznać trzeba. Ale nabywca, chociaż nie koń, to i tak się „znarowił". Wzrastająca stopa życiowa, większe zarobki, dopływ artykułów codziennego użytku pochodzenia zagranicznego do komisów, czy skle-

Dalszy ciąg na str. 6

NAGRODY MIASTA ŁODZI — 1962

Tak więc znamy już tegorocznych laureatów nagród miasta Łodzi. Z wyjątkiem choreografa Jadwigi Hryniewieckiej, (przy czym formuła nagrody precyzowała przyznanie jej za pracę w „dziedzinie upowszechniania kultury"), zostali nimi przedstawiciele świata nauki: medycyny, ekonomii, techniki.

Społeczeństwo łódzkie wie prawdopodobnie najwięcej o zespole, który otrzymał nagrodę w dziedzinie nauk medycznych. Prof. dr Jan Moll (kierownik) i zespół w składzie: docent dr Stanisław Adamski, lekarz Marian Śliwiński, lekarz Mieczysław Smyk-Wilczyński, lekarz Stefan Skotnicki i laborant Stefan Chyliński — jako konstruktorzy aparatu do krążenia pozaustrojowego z użyciem hipotermii, niejednokrotnie gościli na łamach prasy codziennej, którą — rzecz jasna — zafascynował fakt, że u nas, w kraju, dokonuje się już operacji na otwartym sercu.

Gwoli przypomnienia znanych raczej faktów, można przykładowo powiedzieć, że w samej tylko Polsce rodzi się rokrocznie około sześciu tysięcy dzieci z wrodzoną wadą serca, dzieci skazanych na bierną wegetację i wczesną śmierć. Zainstalowany w Poznaniu, a wykonany przez Zakłady Cegielskiego, pierwszy w Polsce aparat do krążenia pozaustrojowego — czyli tzw. sztuczne płuco-serce — pozwala (przy jednoczesnym obniżeniu temperatury ciała, czyli hipotermii) na czasowe przejęcie funkcji serca przez aparaturę i przeprowadzenie operacji na sercu unieruchomionym.

Tak by to wyglądało w jakimś skrajnym uproszczeniu, uświadomić sobie trzeba jednak, że jeszcze do niedawna sama myśl zaatakowania serca lancetem chirurga, wydawała się heretycką nawet dla przedstawicieli medycyny, a cóż dopiero dla potencjalnych pacjentów, czy ich rodziców. Miałem swego czasu przyjemność rozmawiać z profesorem Mollem, naukowcem i człowiekiem o wielkiej wyobraźni, potrafiącym z zapałem rozprawiać o perspektywach lotów kosmicznych, które człowiek odbędzie w stanie zamrożenia (w jego gabinecie wisi — pięknie wykaligrafowany — fragment angielskiego wiersza na ten temat) — otóż mówił mi wówczas, że jednym z nieostatnich powodów zainstalowania aparatu do krążenia pozaustrojowego właśnie w Poznaniu, był fakt nieco ufniejszego stosunku tamtejszego społeczeństwa do operacji na otwartym sercu.

Mimo to, iż pierwsza operacja odbyła się w lipcu 1951 roku, po dziś dzień odbyło się takich zabiegów zaledwie siedemnaście (słowa „zaledwie" używam tu w zestawieniu z ilością schorzeń) przy czym czternaście przyniosło pełne wyleczenie.

Tak więc, aczkolwiek prof. Moll jako kierownik II Kliniki Chirurgicznej AM, podobnie jak cały jego zespół, związany jest bezpośrednio z Łodzią, operacje na otwartym sercu odbywają się w Poznaniu, a aparat do krążenia pozaustrojowego stoi do dyspozycji całej Polski.

Podobnie jak najbardziej ogólnopolski zasięg ma naukowa i dydaktyczna praca prof. Witolda Korewy, który otrzymał nagrodę miasta Łodzi za osiągnięcia w dziedzinie nauk technicznych.

Od 1946 r. związany z Politechniką Łódzką, od roku 1947 staje na czele Katedry Części Maszyn na Wydziale Mechanicznym. Przy katedrze tej istnieje jedyny w Polsce ośrodek studiów doktoranckich w tej specjalności. Autor szeregu publikacji z trzytomową pracą „Części Maszyn" na czele, współtwórca Centralnego Biura Technicznego Przemysłu Maszyn Włókienniczych, redaktor techniczny działu mechanicznego Zeszytów Naukowych Politechniki Łódzkiej, prodziekan do spraw nauki na Wydziale Mechanicznym — profesor Korewa jest również, a właściwie przede wszystkim twórcą własnej, polskiej szkoły w zakresie dyscypliny „Części maszyn".

Stworzył on — uczciwie przyznaje, że posłużę się sformułowaniem podsuniętym mi przez fachowców — specjalną szkołę kształcenia inżynierów konstruktorów, opartą o zasady racjonalnej analizy funkcjonalnej projektowanego elementu lub zespołu, analizy materiałowej i technologicznej. W rezultacie daje to możliwość otrzymania konstrukcji jak najcelowszej z punktu widzenia technicznego i ekonomicznego.

Zupełnie bezpośrednio związana z Łodzią jest natomiast wybitna praca docenta dr Adama Ginsberta „Łódź — studium monograficzne", za którą to przede wszystkim otrzymał on nagrodę w dziedzinie nauk ekonomicznych.

Praca ta, wydana w roku bieżącym przez „Wydawnictwo Łódzkie", traktuje o problemach zabudowy i zagospodarowania Łodzi, oraz o problemach bytu komunalnego jej ludności w okresie przed I wojną, między wojnami i po wyzwoleniu, ukazując wspomniane zjawiska na tle ogólnego rozwoju miasta, jego ludności i terytorium, a także na tle przemian społecznych. Operując bogatym materiałem statystycznym i archiwalnym, wynikami badań ankietowych i terenowych — autor dał pierwsze w tej skali opracowanie monograficzne dla drugiego bądź co bądź miasta w Polsce.

Obok podnoszonej pracy Adam Ginsbert jest autorem wielu innych publikacji, między innymi trzytomowego skryptu „Ekonomika gospodarki komunalnej". W latach 1945—1951 pracował na stanowisku dyrektora Zarządu Miejskiego a następnie zastępcy przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — stąd niewątpliwie jego zainteresowanie problematyką bytu komunalnego ludności Łodzi.

Stosunkowo najtrudniej mówić o nagrodzie przyznanej Jadwidze Hryniewieckiej, w obawie, że nie powie się czytelnikowi nic nowego — tak nierozerwalnie związało się to nazwisko choreografa i pedagoga z popularnym, cenionym nie tylko w kraju zespołem ZPB im. Harnama.

Dodajmy więc tylko, że zespół ten w październiku roku bieżącego obchodzić będzie piętnastolecie istnienia, że za swoją działalność odznaczony został Orderem Sztandaru Pracy II Klasy, a sama Jadwiga Hryniewiecka znajduje niekiedy czas na podjęcie prac choreograficznych w teatrach zawodowych, jak chociażby ostatnio przygotowując „Igraszki z diabłem".

Tu wypada już tylko złożyć laureatom nagród miasta Łodzi serdeczne gratulacje i życzyć im dalszych osiągnięć.

JERZY PANASEWICZ

MARIAN PIECHAL

Notatki z podróży

Klucz Półwyspu Bałkańskiego

Aczkolwiek Rumunia geograficznie nie należy do zespołu państw bałkańskich, to jednak gospodarczo i, co za tym idzie, politycznie jest kluczem do nich. Kto panuje nad Rumunią, ten w pewnym sensie panuje nad Bałkanami, to znaczy nad Bułgarią, Jugosławią, Albanią, a nawet do pewnego stopnia nad Grecją i Turcją, które z takim stanem rzeczy mogą się nie godzić, ale muszą się z nim liczyć. Podobnie przedstawia się sprawa z Węgrami, Czechosłowacją i Austrią, które przecież do zespołu państw bałkańskich nie należą. Czyżby więc Dunaj, który je łączy, decydował o tym ich wspólnym losie z Bałkanami?

Z pozoru tak się wydaje, ale istota rzeczy leży w nafcie rumuńskiej, której źródła znajdują się w pobliżu Dunaju tuż przy jego ujściu. A więc znowu ta nieszczęsna i zarazem szczęsna nafta? Szczęsna, bo jednak jest podstawą wyróżniającego znaczenia gospodarczego Rumunii nad Dunajem, nieszczęsna, bo jednak jest powodem wielu powikłań politycznych w jej dziejach. A przecież od którejkolwiek strony wjeżdża się w granice Rumunii witają nas nie pola naftowe, lecz plantacje winnic i sady owocowe, przeważnie na stokach łagodnych wzgórz, a pomiędzy nimi barwne płamy pól uprawnych oraz pastwisk i łąk na nizinach i nad jarami licznych rzek, których źródła — nietrudno się domyślić — biją w ciemniejących na błękitnym horyzoncie od gęstych lasów i borów u podnóża skalistych gór. Za tymi górami dopiero lub w ich otoczeniu wyrastają gdzieniegdzie lasy — lasy szybów naftowych w dolinach przy zbiegu Karpat Wschodnich i Południowych i nad środkowym Seretem w ramionach jego prawych dopływów, Bystrzycy i Trotusza czyli w samym sercu Wołoszczyzny i Mołdawii.

Można by więc obrazowo powiedzieć, że Rumunia, to nafta w oprawie wina. To wino ukrywa i łagodzi wszelkie mniej przyjemne i przykre dla oka elementy przeszłości i teraźniejszości życia rumuńskiego. Nawet wały Trajana w Dobrudży, symbol niewoli rzymskiej, pokryte są bujnymi plantacjami winorośli, co widać doskonale nawet z okien pociągu, kiedy się jedzie z Bukaresztu do Konstancy. Wał ten, poprzerywany w licznych miejscach w kształcie nierównych usypisk, towarzyszy pociągowi z prawej strony, począwszy od Dunaju. Trudno go odróżnić od okolicznych wzgórków, jedynie biegnący u jego podnóża kanał wodny, zabagniony i na wpół zarosły zielskiem i trzcinami, wskazuje na jego wyrównaną na ogół linię. W okolicy miasteczka Murfatlar, które jest stolicą dobrudżańskiej uprawy winnej latorośli, wał ten podchodzi tuż pod tor kolejowy, ale go prawie nie widać, gdyż ginie pod jasnozielonymi krzewami plantacji. I tak to się ciągnie, aż do samej prawie Konstancy.

Ktoś może powiedzieć, że przecież wino nie jest nowiną na południu Europy, a źródła ropy naftowej posiada ją wszystkie prawie państwa naddunajskie i bałkańskie z jednym wyjątkiem Grecji. Owszem, ale żadne z nich nie ma tak dużo tej nafty, której produkcja mogłaby swą ilością konkurować z produkcją wina, i żadne z nich nie ma ujścia Dunaju w którego pobliżu ta nafta się znajduje. Ten przypadkowy zbieg okoliczności czyni dopiero z Rumunii prawdziwy klucz Bałkanów.

Nic więc dziwnego, że od zarania dziejów ten klucz Półwyspu Bałkańskiego starali się pochwycić różni pretendenci do panowania nad tą częścią Europy. Robili to Grecy przed przeszło dwoma tysiącami lat, budując w nasadzie delty Dunaju swą strażnicza twierdzę Aegyssos, która jako kilkudziesięciotysięczne miasto przybrała potem dzisiejszą nazwę Tulczy (Tulcea). Po Grekach usadowili się w nim na dwa blisko wieki Rzymianie, krzepiąc swoje panowanie nad wszystkimi plemionami zlewiska naddunajskiego, a po nich utwierdzili nad nimi w XV wieku swą ciężką władzę Turcy, od budowując w Tulczy dawną twierdzę, a naprzeciw Tulczy, po drugiej stronie Dunaju, nad jej lewą odnogą Kilią wznosząc nową ciężkozbrojną warownię, symbol swej potęgi i złowrogiego tu tej panowania, Izmail. Ten Izmail następnie był powodem wielu ciężkich zmagań bojowych w ciągu długich dziesiątków lat między drapieżnymi imperializmami — sułtańskiej Turcji i carskiej Rosji. Dziś, jak wiadomo, Izmail wraz z częścią Mołdawii i Besarabią należy do Związku Radzieckiego.

Tę zmienność losów klucza bałkańskiego odbija w sobie najdokładniej stolica Rumunii, Bukareszt, zarówno w swym dziejowym rozroście, jak i w charakterze swego urbanistyczno - architektonicznego stylu.

W r. 1959 Bukareszt obchodził 500-lecie swych pisanych dziejów. Jest więc w porównaniu z taką choćby Tulczą albo Konstancą, które liczą sobie przeszło dwa tysiące lat, miastem stosunkowo młodym, choć nie najmłodszym. Ale Bukareszt ma także jak każde wielkie miasto swoje dzieje bajeczne. Według nich założycielem miasta miał być zwykły pastuch owiec, Bukur, który nad wyniosłym brzegiem stepowej rzeki Dymbowicy, biegnącej ku Dunajowi, zbudował własnoręcznie z cegły i kamienia kościółek ku chwale Bożej. Około tego kościółka wyrosły trzcinowe szałasy i gliniane chaty kurne, które potem historyczny już władca Wołoszczyzny z drugiej połowy XV wieku, Vlad Tepes, kazał obwarować, przemieniając osiedle w gród obronny przed najazdami Tatarów i Turków.

Jak Rumunia jest kluczem do Bałkanów, tak Bukareszt jest kluczem do Rumunii. Jego dzieje streszczają dzieje całego kraju. Pod kościółkiem Bucura i w jego pobliżu archeologowie odkrywają dziś ślady dziejów znacznie starszych od tych, o których mówi pasterska legenda tego miasta. Dzisiejszy Bukareszt to punkt węzłowy pradawnych wędrówek ludów. Jego eksponowane w ciągu wieków położenie handlowe i strategiczne powodowało powtarzające się okresy jego rozkwitu i upadku, przyczyniając się do eklektycznego rozwoju miasta, co pozostało jego charakterystyczną cechą do dziś.

Wystarczy przejść się głównymi ulicami Bukaresztu, aby stwierdzić, że Rumuni to najbardziej chyba eklektyczny i barokowy w Europie naród. Czy także pod względem psychicznym? Wydaje mi się, że tak. Bo przecież oni budowali to miasto, a nie odwrotnie. Architektura i urbanistyka jest najwierniejszym odbiciem psychiki narodu i jego charakteru. Wszystkie możliwe style Wschodu i Zachodu składają się na mozaikowy obraz stolicy rumuńskiej. Jej serce to lewy brzeg rzeki Dymbowicy na linii prostopadłej od placu Unirii (Zjednoczenia) do placu Victoriei (Zwycięstwa). Arterią krwionośną tego serca, jest najbardziej historyczna, reprezentacyjna i ludna magistrala Bukaresztu, Calea Victoriei. Stoją przy niej średniowieczne domki i cerkiewki, poprzegradzane gęsto osiemnasto — i dziewiętnastowiecznymi pałacami bądź w stylu wschodnim, bądź włoskim, a nawet francuskim, wreszcie nowoczesne wielopiętrowe drapacze chmur, a nawet ultranowoczesne okrąglaki i budowle o konstrukcji amfiteatralnej. Pstrokacizna stylów z różnych epok, ich genetyczna wieloźródłowość, ich niezharmonizowana mozaikowatość, spotęgowana jeszcze nieskładnym i niesymetrycznym ustawieniem tych wszystkich gmachów i monumentów, a zwłaszcza domów mieszkalnych wzdłuż poszczególnych ulic. Calea Victoriei jest właśnie charakterystyczna pod tym względem. Gdzieś mniej więcej w jej połowie między placem Zwycięstwa a placem Zjednoczenia stoi słynny pałac królewski, zbudowany w stylu neoklasycznym tuż przed ostatnią wojną. Jego otoczenie to zagęszczenie wszystkich możliwych stylów architektonicznych Bukaresztu, od średniowiecznej zapadłej w ziemię cerkiewki przy prawym skrzydle pałacu począwszy, a skończywszy na supernowoczesnych wieżowcach na tyłach tego pałacu. Idąc dalej w dół ku rzece Dymbowicy ta wyjątkowa w swoim rodzaju Calea Victoriei ma się przegląd historyczny najwspanialszych budowli rumuńskiej stolicy. Ale otaczają ją koncentrycznie bulwary coraz bardziej współczesne i dzielnice coraz bardziej zwykłe, upodabniające Bukareszt do wszystkich innych miast i stolic europejskich. Imponuje tylko jego rozległość i zaledwie wczorajsza nowoczesność na każdym kroku, aby się za wszelką cenę zrównać z Europą, może nawet z Ameryką. Za wszelką cenę, to znaczy za cenę zupełnego zagłuszenia swej eklektycznej przeszłości. Czy słusznie?

Wydaje mi się, że nie. Nie można się wyrzekać siebie, nie można, choćby się chciało, zetrzeć cienistej sylwetki, którą rzuca przed nami oświetlająca nas przeszłość. Kult gigantomachii, mania hurranowoczesności, przerost konstruktywizmu, krzycząca fasadowość i brak umiaru w monumentalizmie widoczne na każdym kroku. Na te wszystkie wady i dolegliwości, których myśmy się wyzbyli, co prawda nie bez trudu, oni w Rumunii chorują, niestety, jeszcze do dziś. Piękne, nieoszacowanej wartości zabytki i bezcenne skarby starowiecznego dziedzictwa toną w jazgocie nowoczesnego nijactwa, przytłoczone mnogością bezwyrazowego szablonu. Drogocenna perła w oprawie z papieroplastyki. Czy taki Bukareszt przy całym swym nie wątpliwym uroku i czarującej oryginalności, na tle innych wielkich miast i metropolii europejskich, może być wobec tego wyrazem współczesnej Rumunii?

Sądzę, że tylko częściowo. O własnym dominującym nad innymi narodowym stylu rumuńskim trudno mówić, chodząc po ulicach Bukaresztu, wziąwszy nawet pod uwagę wywodzący się ze źródeł ludowych osiemnastowieczny brancovenesc (brankowenesk), w którego przedziwnie subtelnym i nad wyraz urzekającym charakterze zbudowany pałacyk możemy podziwiać tuż naprzeciw dworca Baneasa. Drugi taki rzadki okaz narodowego stylu rumuńskiego to pałac Magosoaia już poza obrębem Bukaresztu.

Ale za to rozrost miasta i tempo jego rozwoju są w pełni zharmonizowane z rozrostem i tempem rozwoju całego kraju. Pod tym względem Bukareszt jest wiernym odbiciem współczesnej Rumunii. Przed stu laty, kiedy Rumunia powstawała jako państwo, jej stolica liczyła niewiele ponad 100 tysięcy mieszkańców. W okresie międzywojennym liczyła niewiele ponad 600 tysięcy. Obecnie liczy przeszło dwakroć tyle, to znaczy około jednego miliona i 300 tysięcy. Tylko nasza Łódź mogłaby w tym sensie iść z Bukaresztem w paragon.

Żarłobliwie można by wytłumaczyć ten niezwyczajny rozrost i rozwój stolicy rumuńskiej tym, że leży ona na pokładach nafty i na najobfitszych w kraju zasobach gazu ziemnego. Istotny rozwój szybów naftowych w okolicach Ploeszti ma tendencje kierunkowa w stronę Bukaresztu, zaś w najbliższej jego okolicy znajduje się punkt największego wydobycia gazu ziemnego. Ale to nie przeszkadza, że Bukareszt ze wszystkich stolic nad Dunajem ma najczystsze powietrze, najłagodniejszy klimat i najsoczystszą zieleń.

Poznanie Bukaresztu i jego dziejów to klucz do poznania całej Rumunii, a nawet w pewnym bardzo ogólnym, lecz istotnym sensie całych Bałkanów.

Nowy plac przy Pałacu Republiki

Plac Uniwersytecki w Bukareszcie

Jeszcze w sprawie „Matki i córki"

Czy naprawdę o. Pirożyński?

W poprzednich numerach naszego tygodnika ukazał się artykuł i listy związane z usunięciem z filmu „Matka i córka", sceny gwałtu młodej dziewczyny. Sprawa ta wywołała gorąca dyskusję. Dr Marcinkowski z Krakowa — bezpośredni sprawca owego okastrowania dzieła sztuki — nadesłał nam swoją nową wypowiedź uzasadniającą jego stanowisko. Zamieszczamy ją w całości i na razie wstrzymujemy się od komentarzy, choć mamy nieco inny niż dr Marcinkowski pogląd na tę sprawę. Sądzimy, że zagadnienie jest bardzo istotne, i zainteresuje tak twórców jak i pedagogów. Zapraszamy do dalszej dyskusji.

Redakcja

Sprawa polemiki na temat filmu „Matka i córka" (La Ciociara), która nadal żywo interesuje opinię publiczną i nadal jest aktualna — jest tylko drobną potyczką w wielkiej bitwie, w zasadniczej dyskusji: o społecznym zamówieniu i społecznej odpowiedzialności sztuki. Bitwa ta jest w naszych czasach, zwłaszcza w naszym ustroju chyba bez reszty rozstrzygnięta na korzyść społecznej postawy odnośnie zadań i prawdziwej wielkości sztuki i dlatego nie może również dziwić decyzja wycięcia z tego filmu nikczemnie sadystycznych i realistycznych scen gwałtu.

(W świetle tej decyzji merytoryczna słuszność mego protestu i moich argumentów zawartych w liście otwartym do Towarzystwa Seksuologów Polskich nie może budzić żadnych wątpliwości.)

Merytoryczna słuszność „stanowiska społecznego" w odniesieniu do najgłębszych zadań sztuki jest podbudowana i naukowo i moralnie, ponieważ postawy te są zasadniczo zgodne w ocenie wielkich problemów ludzkości I tak: wiedza lekarska, seksuologia, psycho i fizjologia, nauka Pawłowa (o 1-szym i 2-gim układzie sygnałów), socjologia, pedagogika, czy kryminologia — wszystkie one **bezdyskusyjnie stwierdzają** szkodliwy społecznie, zdrowotnie i wychowawczo wpływ czarnej literatury, filmu i TV na widza młodocianego, niedojrzałego, czy nie przygotowanego, a więc na masy, które zresztą słusznie, choć instynktownie oczekują od sztuki, a więc także od filmu gotowych stereotypów postępowania i popularnych bohaterów. Rozumie to i prawdziwie wielka sztuka. Wystarczy zacytować wypowiedź Williama Faulknera o własnej jego twórczości, o roli literatury: „Głos poety nie może być tylko kroniką człowieka, musi być dźwignią, wsparciem pomocą w przetrwaniu i zwycięstwie. Jego przywilejem jest przypominać o męstwie, honorze i dumie, miłosierdziu i nadziei, współczuciu i poświęceniu". Oto wyznanie wiary każdego humanisty, a także wyznanie wiary medycyny i nauk przyrodniczych i społecznych. I tu spotykają się wiedza i moralność tj. wiedza o tym, co leży w interesie społeczeństwa i ludzkości, w interesie człowieka.

Jakże do tych poważnych zagadnień podchodzą różni kinomani, domorośli znawcy „sztuki dla sztuki", zarozumialcy, demagodzy i dyletanci. Na argumenty znajdują tylko obelgi i dowcipuszki. Nic dziwnego, nie stać ich na więcej. Jak dzieci — istotnie jak dzieci — nie rozumieją w ogóle zagadnienia, do którego nie dorośli. Mają częstokroć wręcz tupet bawienia się w dorosłych i nazywania ludzi **naprawdę dojrzałych**, ludzi reprezentujących wiedzę lekarską i interes społeczny — infantylnymi, niedojrzałymi, nawiedzonymi, fanatykami. Wolnomyśliciela, założyciela Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, lekarza i działacza młodzieżowego znieważa się największą możliwie dla niego obelgą porównując go do ojca Pirożyńskiego, ośmieszonego przez Boya pseudomoralisty, przedstawiciela ponurej, obłudnej, obsesyjnej moralności klerykalnej! — I to wszystko tylko dlatego, iż lekarz ten odważył się nazwać rzeczy po imieniu, nikczemność nikczemnością, sadyzm i okrucieństwo scen masowego gwałcenia sadyzmem i okrucieństwem, demaskując równocześnie jego źródła: pogoń za dolarem, za sensacją, za skandalem, które przynoszą zysk nie społeczny, nie artystyczny, lecz **kasowy**. Bo odważył się wykazać naukowo tragiczne następstwa społeczne dla wychowania i dla zdrowia psychicznego — jako skutki takiej polityki filmowej.

I w końcu — bo odważył się narazić zmowie przeróżnych pięknoduchów, bywalców, uważających się za alfę i omegę opinii i krytyki, za wytwornych i głębokich, oraz, że odważył się ukazać cały ich zawstydzający dyletantyzm i nieodpowiedzialność społeczną w sprawach merytorycznych, w sprawach pedagogiki, higieny psychicznej, których znajomość obowiązuje każdego człowieka pióra.

Lekkomyślność, powierzchowność i naprawdę dziecinne niezrozumienie zagadnienia wykazał w początkach dyskusji redaktor „Bywalca" w swym felietonie „Ostrożnie z listkami figowymi". Nie dość, iż nielojalnie wkładał mi w usta, wyssany przez niego z palca, zarzut pornografii (podczas gdy moje argumenty mówiły o sadyźmie o zdrowiu psychicznym o szoku, o szkodliwych skutkach społecznych filmu) — ale odważał się nazywać realistyczne sceny masowego gwałtu „sekwencjami nabrzmiałymi surowością, a nawet brutalnością" Posuwał się w swej rozbrajającej demagogii do zdania: „Sztuka, jeśli jest sztuką nie boi się obnażonych nóg kobiecych" udając że nie widzi różnicy między realistycznymi scenami gwałcenia, a obnażonymi nogami kobiecymi. Zaiste trzeba mieć umysł naprawdę infantylny, i lekkomyślnego trefnisia, żeby biadać nad zwycięstwem wspomnianych nikczemnych scen i uważać je, jak p Kydryński — za **„zasadniczo ważne"**. Trzeba również nie posiadać krzty wyobraźni aby nie rozumieć różnicy między słowem pisanym, a wizją, obrazem wizualnym, w technice filmowej specjalnie ściśle oddającym rzeczywistość: wizją, fonią i ruchem.

Sprawy etyki seksualnej, wychowania seksualnego jako związane z najpotężniejszym, a przeto i najniebezpieczniejszym w razie złego utorowania — instynktem człowieka stały się i stają się coraz bardziej problemami i tematami dnia. Ich rozwój i konsekwencje prawne, społeczne będą miały decydujące znaczenie dla przyszłości, dla bezpieczeństwa rodziny i kobiety, dla interesu dziecka, a więc dla interesu i bezpieczeństwa społeczeństwa Byłoby pożądane, aby film, TV, publicystyka i magazyny nie prowadziły w tych sprawach innej polityki niż ta, która reprezentuje wiedza lekarska, pedagogiczna, socjologiczna. Rozumie to instynktownie prawdziwie wielka sztuka nie lękająca się nagości, ani prawdy, lecz brzydząca się pornografią i pikanterią. Brutalności, czy wręcz bestialstwa scen w filmie „Matka i córka" — czy wątpliwej wartości artystycznej pikantnym scenom z filmu „Niewinni czarodzieje" można by przeciwstawić piękną, wręcz wzruszającą historię „miłości z przeszkodami" pokazaną nam przez Kulza w filmie „Nikt nie woła". Film śmiały, nie tylko awangardowo, lecz i w scenach miłosnych, aż do ukazania pięknego aktu dziewczyny (to tu wycięcie filmu było nieporozumieniem).

A jeśli chodzi o literaturę, to zwolennikom czarnej literatury i jaskrawych, realistycznych scen erotycznych należy przypomnieć umiar i artyzm Hemingwaya, jego delikatność i subtelność w przedstawianiu właśnie tych brutalnych scen. Tylko prawdziwie wielka sztuka i wielki pisarz wyczuwa nieomylnie, gdzie kończy się sztuka, a zaczyna zwyczajne chamstwo.

Dr W MARCINKOWSKI
KRAKÓW

MIESZANKA FILMOWA MIESZANKA FILMOWA MIESZANKA FILMOWA MIESZANKA FILMOWA

Fotos z filmu „Rio Bravo"

Co nas czeka?

Układanie repertuaru filmowego w miesiącach wakacyjnych nie należy do rzeczy łatwych, tym bardziej kiedy CWF odczuwa brak dobrych filmów rozrywkowych. Pomimo tych trudności, rzec by można, obiektywnych, repertuar filmowy lipca i sierpnia nabrał trochę żywszych rumieńców, a przede wszystkim atrakcyjności. „RIO BRAVO" stanowi „gwóźdź" aktualnego repertuaru. Sensacyjność, romantyzm, cały kapitalnie zbudowany mechanizm filmu przygodowego — działają w przypadku tego filmu bez pudła. Poziom rzemiosła filmowego zaprezentowany przez reż. Howarda Hawkesa, aktorstwo znanego Johna Wayne'a („Dyliżans") czynią omawiany film widowiskiem pasjonującym, mimo schematyzmu fabuły z typowym szeryfem broniącym prawa przeciwko bandzie pragnącej odbić swego kompana. Jak przystało na western jest w nim również piękna dziewczyna, tym razem naprawdę urocza Angie Dickinson, za dwie melodyjne piosenki, które wykonuje m. in. jeden ze znanych amerykańskich piosenkarzy i aktorów młodego pokolenia — Rocky Nelson. Wymienić należy też kapitalnego Waltera Brennana, weterana hollywoodzkiego aktorstwa. Bardzo dobre tempo, wiele pościgów, strzałów z biodra, a wszystko w pulsującym barwami technicolorze — czyni „RIO BRAVO" filmem, na którym każdy może odpocząć i zabawić się.

Te same chyba cele w stosunku do widzów przyświecały austriackiemu reżyserowi Edwardowi von Borsody, który zrealizował „REWIE SNÓW". Trudnością zasadniczą jaka staje prawie zawsze przed filmem rewiowym, muzycznym, jest umiejętność powiązania poszczególnych numerów muzycznych, wokalnych czy baletowych. Niezłe próby poczynił w tym kierunku Vincente Minelli w „Deszczowej piosence". Jego ostatni film „Gigi" okazał się już, niestety, niewypałem w tym gatunku twórczości filmowej. Austriacka „Rewia snów" ma wszystkie wady tego typu filmów. Słaba, banalna fabuła jest osią, na którą naciągnięto niezłe piosenki, a przede wszystkim świetne numery wiedeńskiej rewii na lodzie. Tańce na lodzie, efektowna scenografia — przyczyniają się do tego, że film ogląda się przyjemnie, choć momentami z pewnym znużeniem. Cóż robić, skoro reżyser koniecznie chciał, oprócz dobrych numerów rewiowych przemycić wymyślne perypetie bohaterów wziętych ze zleżałych już schematów operetkowych.

Skoro jesteśmy ciągle przy filmach o tematyce rozrywkowej, warto zauważyć w bieżącym repertuarze zrealizowane w 1945 roku przez reż. Siemiona Timoszenko „ŚLUBY KAWALERSKIE". Bohaterem tego filmu jest eskadra kobiecą gwardyjskiego pułku lotniczego latająca na popularnych „kukuruźnikach". Film Timoszenki jest bezpretensjonalną komedią ukazującą czas wojny od strony ludzkiego humoru, ludzkich słabostek i śmieszności. Co prawda grzeszy nieporadnością techniki filmowej, która dzisiaj o całe 17 lat zrobiła spory postęp. Ujmie jednak każdego znanymi melodiami Sołowjow — Siedoja. „Śluby kawalerskie" są kolejną pozycją z cyklu wznowionych filmów radzieckich. Niebawem ujrzymy inne komedie filmowe m. in. Aleksandrowa „ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE". Filmy, które niegdyś próbowano oskarżać o „szarpanie świętości" (czynili to wytrwale niektórzy krytycy radzieccy, jak Jureniew) dziś słusznie uzyskują miejsce na ekranach.

Dzisiejszy felieton kończy krótkie omówienie filmu reż. D. Damianiego według scenariusza Cezare Zawattiniego. „NAJEMNY MORDERCA". Krytyka zachodnia nie bez słuszności upatruje w 40-letnim reżyserze jednego z ciekawszych współczesnych twórców włoskich. Po dość poprawnym debiucie fabularnym Damianiego (dotychczas dokumentalisty) — „Szmince do ust", drugi jego film jest próbą polemiki ze współczesną włoską rzeczywistością społeczną. Historia handlowca zagrożonego płacą finansową z powodu zaciągniętych długów, wydaje się jednak zbyt przerysowana. Reżyser próbuje natrętnie demonizować bohaterów, bez mała straszyć nimi widzów. W efekcie film Damianiego z zamierzonego dramatu społecznego stał się zwykłym, poprawnie zrealizowanym filmem sensacyjno-kryminalnym, wyróżniającym się dobrym tempem narracji i niezłą kreacją aktorską Sergio Fantoniego, oglądanego po raz pierwszy na polskich ekranach.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

POTIOMKIN *straszy* w Radomsku

Dalszy ciąg ze str. 1

się wzbierającą falą po ziemi łódzkiej. Dzielnice jednorodzinnych domków rosną jak województwo długie i szerokie. To one nadają obecnie charakter miasteczkom. Charakter jest przeznaczeniem — jeśli aforyzm jest słuszny to biada Piotrkowowi, Moszczenicy, Krośniewicom, Łowiczowi, biada iluś tam miastom. Wszystkie te osiedla to jakby powielony wielokrotnie wizerunek Kowalowca. W Krośniewicach zbudowano sto domostw, projektanci schyleni nad stołami kreślarskimi widzieli w Krośniewicach uroczą dzielnicę, pełną słońca, zieleni, składającą się na zgraną, estetyczną całość. To co z tego wyszło jest szyderstwem z wiedzy architektów, z ich wysiłku, a także... podpisu.

Jeden z architektów orzekł krótko:

— Miało być pokazowe budownictwo z trzech typów domków, uszeregowanych harmonijnymi grupami. Tylko, że w trakcie roboty typów namnożyło się ich sto. W całych Krośniewicach nie znajdzie się dziś dwóch podobnych do siebie budynków. Pan wybaczy, ale wolałbym nie wchodzić w szczegóły, może innym razem...

Inżynier szybko się pożegnał i odszedł.

Gdyby to co powiedział, dotyczyło tylko Krośniewic! Ba, wszędzie tańczą tę samą polkę, z kielniami w ręku. No dobrze, a co na to władze? Pukać by trzeba do Wydziału Budownictwa Prezydium WRN. Zapukałem i zadałem tam kilka pytań. Pierwsze z nich.

— Czy miasta w województwie mają zatwierdzone plany urbanistyczne?

— Tak jest, plany są opracowane, zatwierdzone i mają moc obowiązującą.

— Czy osiedla domków jednorodzinnych budowane są w oparciu o dokumentację typową, dostosowaną do miejscowych warunków?

— Tak jest. Niemal 80 proc. domków stawia się w oparciu o projekty typowe.

— Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Zapanowało milczenie, po czym zaprowadzono mnie do wojewódzkiej pracowni urbanistycznej. Nad biurkiem zasłanym szkicami siedział mężczyzna. Przedstawiono go tymi słowy:

— Oto były architekt powiatowy w Radomsku. Osiadł u nas, pan rozumie...

Architekt nie był skory do wynurzeń. Po namyśle oświadczył:

— Walczyłem z tym monstrum przez dwa lata. Przeciwstawiałem się. Wydałem ponad dwieście rozporządzeń wykonawczych aby rudery przebudować, domy przerobić, w miarę możliwości zmienić. Zakazywałem wznoszenia nowych bez pozwoleń, występowałem przeciw samowoli budowlanej. W końcu poddałem się. Monstrum okazało się silniejsze. Pan wybaczy, ale wolałbym już się w tym nie grzebać...

Rozmawiałem jeszcze z innymi architektami szczebla powiatowego i wojewódzkiego. Wszyscy byli zgodni co do tego, że ani murarz, ani cieśla i majster, nikt nie trzyma się zatwierdzonego projektu. No właśnie, toczą się uczone dyskusje czy jesteśmy narodem skłonnym do anarchii. Myślę, że nigdzie przerost indywidualizmu i źle pojętej niezależności od państwa, nie przejawia się tak jaskrawo jak w budownictwie. Czy jesteśmy więc społeczeństwem o anarchicznych ciągotach? Jeśli ktokolwiek ma co do tego jakiekolwiek wątpliwości, niechaj zajrzy do Kowalowca w Radomsku! Tam najdoskonalej widać zupełną obojętność wobec przepisów i państwowego nadzoru.

Zaczyna się od tego, że na zakupioną działkę przybywa mąż, żona, no i miejscowy majster. Zanim murarz zdąży wyciągnąć plan z kieszeni, właściciel działki już mówi zdecydowanym tonem:

— To lipa, cały ten projekt. Gwizdać na to. Kuchnia ma wychodzić oknami na południe i basta. Zawsze tak bywało.

Majster ma pewne wątpliwości:

— Jakże, to piec w kuchni i jeszcze to słońce od południa. Małżonka nie wytrzyma przy garach.

— Rób pan co mówię — upomina zleceniodawca. Pokoje sypialne mają być od północy, kuchnia od południa. Tak ma być i koniec.

Teraz i majster nabiera twórczej werwy. Przecież i on musi wykazać, że zna się na rzeczy:

— Jeśli tak, to ze swej strony bym radził, żeby spiżarkę przesunąć o dwa metry i wybić okno w szczycie. Będzie weselej z tym oknem.

Potem do pogawędki włącza się jeszcze żona. Na ostatek schodzą się sąsiedzi i też dokładają do dzieła swe trzy grosze. Wszyscy są pogrążeni w zbożnym trudzie, by wykiwać tego architekta, co to chodzi z teczką i wtrąca się gdzie nie proszą. Nie mija tydzień i z typowego projektu, zatwierdzonego i przewentylowanego przez ileś tam komisji rzeczoznawców, nie pozostają strzępy.

Ale czemu architekci puszczają te wyczyny płazem?

Po pierwsze, architektów w terenie jak na lekarstwo. Jak dobrze idzie dwóch na cały powiat. Choćby wyszli ze skóry i tak wszędzie nie zajrzą. Po drugie, gdy już coś zobaczą, operują początkowo perswazją, słowami. W końcu architekt zdenerwowany chwyta za pióro i śle wniosek o ukaranie winnych wykroczenia przeciw prawu budowlanemu. Wtedy to jak zza biblijnego krzaka, odzywa się głos z tak zwanego szczebla. Głos oczywiście w słuchawce telefonicznej:

— Halo, czy to architekt? Słuchajcie no, jest tu skarga na was. Człowiek się wybudował, wykosztował, a wam coś tam na dachu się nie podoba. Grozicie sankcjami i tak dalej. Słuchajcie, trzeba bardziej po ludzku, z wyrozumieniem, a wy zaraz byście porządnego obywatela po łbie.

Padają zarzuty coraz cięższego kalibru, architekt się broni. Lecz chociaż argumenty mają to do siebie, że wzajemnie się unicestwiają, to przecież ostatni przeważa... Tak czy owak architekt jest raptem wystawiony na wzmagający się nacisk przeróżnych czynników.

Funduszami na budownictwo indywidualne dysponuje Wydział Gospodarki Komunalnej kierownik Wydziału sypał mi danymi jak z rękawa.

— Każdy, kto budował się na Kowalowcu otrzymywał kredyt w wysokości dochodzącej do stu tysięcy złotych. Tylko w zeszłym roku pożyczyliśmy na ten cel cztery miliony złotych, zostało jeszcze pół miliona, ale już nie było chętnych. W tym roku daliśmy już kredyty sięgające dwóch milionów złotych, nie żałujemy grosza. Mogę pana zapewnić, że to nie brak środków spowodował, że Kowalowiec jest taki jaki jest.

Rzeczywiście nie trzeba długich badań, by dojść do przeświadczenia, że na Kowalowcu nikt z groszem specjalnie się nie liczył. Nawet pod małe domki zakładano potężną stopę na cemencie jak pod fortecę. Mury półmetrowej szerokości, na dwie cegły, jak Pan Bóg przykazał. Ścianki wewnętrzne masywne niby w podziemnych lochach. Słyszy się, że na samych ściankach działowych można by przeciętnie w każdym budynku zaoszczędzić ponad trzy tysiące cegieł. Z tych cegieł dałoby się postawić kilka lekkich domków dla jeszcze kilku rodzin. Bo Kowalowiec to już prawie dwieście budynków.

Dlaczegóż więc w małych miastach ciągle jeszcze straszy ciężkie, ubiegłowieczne budownictwo?

Domorośli murarze nie mają pojęcia o statyce i jej prawach. Murują na wyczucie. Ponieważ z reguły odbiegają od projektu i wchodzą na ścieżki w projekcie nieuwzględnione, wolą grubiej, żeby pewniej było. Ci murarze, najczęściej bez murarskich uprawnień, wznoszą strychy z bel jak okrętowe maszty, futryny muszą być głębokie, stolarka drzwi i okien o wielkiej masie. Fuszer woli zatem grubiej, by go potem nie wzięli za kapotę...

Jeszcze kilka uwag o Radomsku.

Miasteczko rozrasta się wszerz w oszołamiającym tempie. Liczy już sobie ponad dwadzieścia tys. mieszkańców, ale na obszarze jaki zajmuje mogłoby żyć swobodnie sto tys. ludzi. Ulice w tym miasteczku wydłużyły się już łącznie do siedemdziesięciu kilometrów i wybiegają wciąż dalej w siną dal...

Ulice? To raczej polne dróżki bez chodników i jezdni. W rozciągniętym niepomiernie Kowalowcu można za kanalizacją i wodociągami gonić tylko w sennych rojeniach. Osiedle nie ma też ani jednego zakładu usługowego, ba ani jednego sklepu. A do śródmieścia blahostka, trzy kilometry. Ładna zabawa w urbanistykę, prawda?

Kowalowiec w Radomsku to exemplum osiedla domków jednorodzinnych w tak zwanym głębokim terenie. Na wyglądzie dzielnicy zsumowało się niedołęstwo, zła tradycja, liberalizm władz. Architektura współdziała w tworzeniu kultury narodu. Co za ładne powiedzenie. Ładna mi kultura ten Kowalowiec, pasuje jak ulał do sztuki. Do sztuki obchodzenia przepisów, praw i wszystkiego co jest związane z jakąkolwiek myślą porządkującą.

Nie chciałbym uderzać w mentorski ton i kończyć wnioskami. Nie moja rzecz je wytyczać, lecz powołanych do tego osób i urzędów. Sygnalizuję problem nie tylko Kowalowca. Sprawa jest wyjątkowej wagi bo o wyglądzie kraju nie decydują Kuraki i Żubardzie, lecz te „antykuraki" na prowincji. Owe setki miasteczek wzdłuż głównych linii komunikacyjnych.

A nuż nic się nie da zrobić? Może miał rację stary Długosz pisząc, że „Polacy nie mają zmysłu do budownictwa"?

JAN BĄBIŃSKI

JERZY DAGOBERT

V KOLUMNA

„RATUJ SIĘ KTO MOŻE" — czyli tragedii francuskiej ciąg dalszy

W roku 1931 we Francji mieszkało ponad 30 tysięcy obywateli niemieckich. Spośród nich około 25 proc. było rzeczywistymi członkami faszystowskiej niemieckiej organizacji (ligi) p.n. „Deutsche Gemeinschaft". Liga ta była zorganizowana przez partię hitlerowską NSDAP dla Niemców, mieszkających poza granicami Trzeciej Rzeszy. Oczywiście z chwilą przyjścia do władzy Hitlera w Niemczech, zadania „Deutsche Gemeinschaft" znacznie się zwiększyły. Tak było w Polsce, Danii, Belgii, Norwegii i Holandii. Tak też było i we Francji.

Niemcy, członkowie tej organizacji we Francji, znaleźli dość szybko wspólny język z ruchem alzackich autonomistów, których politykę oderwania się od Francji, sami Francuzi określili mianem polityki fanatycznej. Tym niemniej nie bardzo przejmowano się tymi „fanatykami". Warto jeszcze przypomnieć o istniejących we Francji grupach bretońskich nacjonalistów, którzy jeszcze w dwudziestych latach występowali przeciwko centralnemu rządowi francuskiemu. I te ugrupowania bretończyków również w pewnej mierze weszły w orbitę działań członków „Deutsche Gemeinschaft" we Francji.

Dzięki takiemu stanowi rzeczy, już jesienią 1938 roku naczelne dowództwo niemieckich sił zbrojnych posiadało w swoich dokumentach dokładne dane o rozmieszczeniu sił zbrojnych Francji, bardzo szczegółową dokumentację francuskich lotnisk wojskowych i cywilnych, fabryk i rafinerii ropy naftowej, najbardziej dokładne dane o arsenałach i składach amunicji, elektrowniach, obiektach przemysłowych produkujących uzbrojenie.

W piśmie z datą 25 sierpnia 1938 roku, skierowanym przez sztab generalny Wehrmachtu do szefa operacyjno-zwiadowczego oddziału głównego sztabu niemieckich sił lotniczych — podane zostały do wiadomości najdokładniejsze dane o systemie mobilizacyjnym armii francuskiej i stanie zaplecza technicznego lotnictwa francuskiego.

Oczywiście, to wszystko nie było **tylko** dziełem piątej kolumny, rekrutującej się spośród członków „Deutsche Gemeinschaft" we Francji. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że agenci i wywiadowcy hitlerowskiego wywiadu, którzy przerzucani byli do Francji w ostatnich latach, poprzedzających napaść na Francję, znajdowali doskonałe oparcie w 1/4 swoich ziomków, zamieszkujących Francję.

Jak wiadomo, w połowie maja 1940 roku, w obliczu narastającej klęski Francji, w kraju, a szczególnie w Paryżu, zapanowały nastroje, których wyrazem było popularne wówczas określenie: „sauve qui peut" — co tłumaczy się: „ratuj się, kto może!". Drogi zapełnione tłumami uchodźców, zdążających na południe, merostwa pozbawione władzy administracyjnej, Normandia, Bretania i południowe rejony Francji przepełnione były uchodźcami, których liczba wyniosła około 7 milionów osób. Wszystkie miasta i wsie, lub prawie wszystkie, między Paryżem, a północnymi granicami Francji, wyludniły się.

17 maja 1940 roku sformowano korpus obrony cywilnej, który rozpoczął budowę barykad na szosach i drogach. To znacznie zwiększyło ogólną panikę. Rozprzestrzeniał się strach przed piątą kolumną, o działalności której świadczyły liczne akty dywersyjne, jak nagłe pożary magazynów zboża, jak niewyjaśnione przyczyny katastrof kolejowych w Bretanii i Normandii. Dochodziło do tego, że własne aerostaty brano za desanty niemieckie, że w każdym nocą błyskającym światełku widziano rzeczywiste i nierzeczywiste sygnały piątej kolumny. Rzeczywistość pomieszana z wybujałą wyobraźnią, podsycaną przez strach czyniły wszelkie próby opanowania tego stanu — niemożliwe.

Przy czym było nawet na rękę rządowi Reynauda i sztabowi Weyganda tłumaczyć coraz dotkliwsze klęski armii francuskiej poczynaniami piątej kolumny. Szukano więc i widziano wszędzie ludzi piątej kolumny. Ten stan doprowadził nawet do takich absurdów, że kiedy internowano wszystkich Niemców we Francji w obozach koncentracyjnych (dość późno rozpoczęto tę akcję — przyp. J.D.), to wraz z nimi podlegali represji i ci obywatele niemieccy, którzy uciekli z Niemiec i Austrii na skutek prześladowań antysemickich...

Nic też dziwnego, że w tej atmosferze niesłychanego podniecenia, chaosu i pełnego rozprzężenia — właściwi agenci hitlerowscy, dywersanci nasłani do Francji w charakterze turystów i poszczególne zorganizowane grupy piątej kolumny mogły z powodzeniem wykonywać swoje zadania, przygotowując przyjęcie dla maszerujących kolumn Wehrmachtu. Rozsiewając pogłoski o masowej dezercji z armii francuskiej, przesyłając do stacjonujących w miastach garnizonów wojskowych fałszywe zarządzenia i dyspozycje, a przede wszystkim pogłębiając pesymistyczne nastroje wśród olbrzymich rzesz uchodźców — członkowie piątej kolumny czynili ogromną wyrwę w morale społeczeństwa i wojska. W Rouen i w Nancy, w Paryżu i Marsylii mówiono już o całkowitej klęsce na wiele dni przed rzeczywistą kapitulacją Francji.

I to było chyba najtragiczniejsze, że rozkładająca społeczeństwo francuskie plotka, nie znajdowała natychmiastowego dementi ani w oświadczeniach rządu, ani w komunikatach prasowych. Zwiększyły się tylko represje stosowane przez rząd francuski. I tak nowy minister spraw wewnętrznych — Mandel, zwolennik radykalnych posunięć, rozpoczął masowe aresztowania (10 czerwca 1940). W ciągu kilku dni aresztowano w Paryżu 60 tysięcy osób. Ulice Paryża zaludniły się setkami patroli, które przeprowadzały rewizje w hotelach i domach prywatnych. Wśród niewielu słusznie aresztowanych, znalazło się bardzo wielu niesłusznie represjonowanych. Aresztowano komunistów, księży i mnichów na równi z istotnie podejrzanymi. Wszystkich odsyłano w niesłychanym pośpiechu do obozów.

Mimo to strach działał dalej. Jeśli pewnych niepowodzeń na froncie nie można było tłumaczyć działaniem piątej kolumny, to tłumaczono je zdradą. „Gdzie właśni zdrajcy, a gdzie szpiedzy? Gdzie agenci, a gdzie ludzie piątej kolumny?" — takimi pytaniami zarzucano urzędy państwowe. Odpowiedzi nie było. Dlatego tłumaczono sobie ten fakt milczenia władz na własny sposób: „Oni są wszędzie!..."

Angielski dziennikarz obserwujący ostatnie dni tragedii francuskiej w 1940 r. opisuje wypadek na drodze do Bordeaux:

„Dyżurny policjant zatrzymał jadącego na motocyklu sierżanta francuskiego lotnictwa wojskowego. Zażądał od niego dokumentów. Sierżant odmówił. Policjant, starszy człowiek, z niebieską wstążką na rękawie (korpus obrony cywilnej — przyp. J. D.) zaczął wrzeszczeć na cały głos. Zebrała się grupa gapiów. Niektórzy twierdzili, że sierżant jest niemieckim skoczkiem spadochronowym, niektórzy wołali, aby go zlinczować na miejscu, bo szpieg. Wreszcie znalazł się ktoś rozsądny i zaproponował odwiezienie podejrzanego na komisariat. Tam okazało się, że sierżant był absolutnie w porządku. Ludzie stali się bardzo nerwowi, a nawet przesadnie podnieceni — niemieccy skoczkowie wszędzie się im majaczyli..."

Aleksander Wert — bo nim był ów angielski dziennikarz pisał te słowa 14 VI 1940 r. I właściwie w tym dniu los Francji był już przesądzony. Dwa dni później marszałek Petain, sformowawszy nowy rząd, podpisał kapitulację Francji. Hitlerowcy zawładnęli ziemią Voltaira i Rousseau.

A w pamięci Francuzów zachowały się m. in. dziwne zjawiska: świetlne sygnały, fałszywe rozkazy, intryganci i dywersanci, sabotażyści i skoczkowie. Wszystko to układało się w dwa słowa: „piąta kolumna", którą niesłychanie trudno jest zniszczyć.

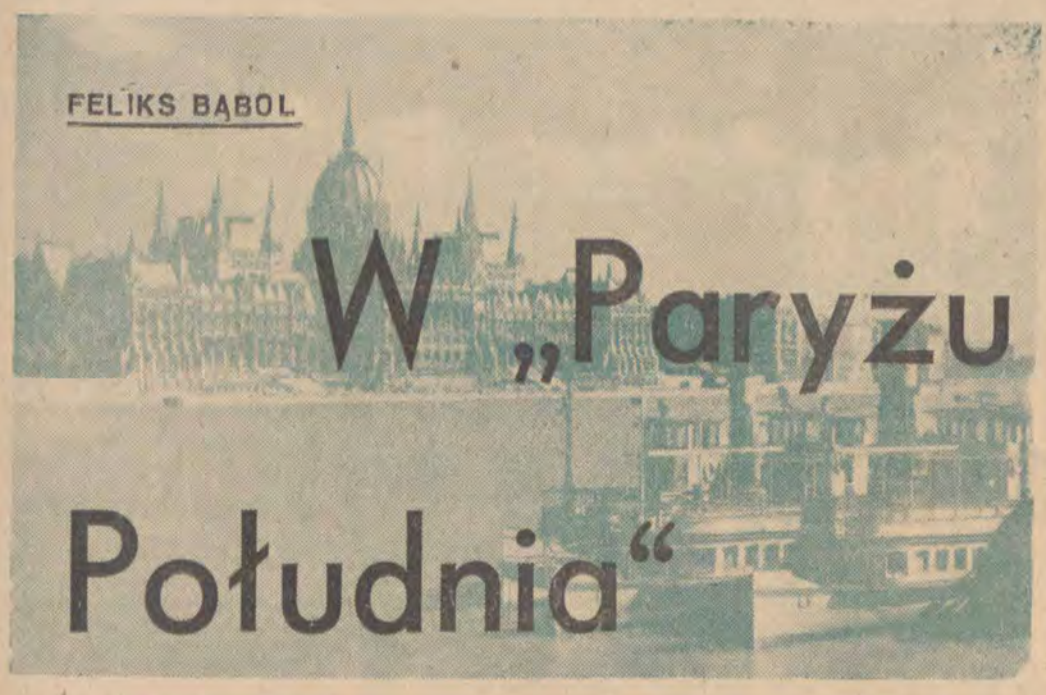

FELIKS BĄBOL

W „Paryżu Południa"

W nocy przeskoczyliśmy Czechosłowację i w tym samym czasie, w jakim łodzia nin osiąga naszą górską Krynicę — znaleźliśmy się w Budapeszcie.

Na Dworcu Wschodnim węgierscy kolarze wpadli w ramiona witających ich żon i narzeczonych. Dużo kwiatów. Numerowi, czy chcesz czy nie chcesz, porywają twój bagaż, by go dostarczyć na postój taksówek. A tu już spotkanie z polskimi „Warszawami". Kierowcy są uśmiechnięci i cierpliwi, czekają z wyrozumiałością przed hotelami, w których nie dostaniesz pokoju, bo to niedziela i najazd turystów na ten „Paryż Południa". Czekają cierpliwie, by wreszcie podwieźć cię na ulicę Roosevelta, gdzie mieści się węgierski „Orbis" czyli „Ibusz".

Jest godzina 7.30 rano, a w „Ibuszu" pełny dyżur młodych Węgierek i Węgrów. Kwatery prywatne — pierwsza doba 55 forintów, następne po 40, ale za wszystkie doby płacisz z góry. Dzięki „Ibuszowi" właśnie znaleźliśmy się na Sziv utca czyli na ulicy Serdecznej. Pani domu nie ma, pierwszych wybuchów przyjaźni węgiersko-polskiej doznaliśmy więc ze strony jej dalekiego krewnego, o ile oczywiście w łamanym mocno niemieckim można tę przyjaźń wyrazić wylewnie. Ale pani domu wróci po południu z pracy...

— W niedzielę pracuje? — dziwimy się.

Okazuje się, że pani domu jest młodą wdową. Jej mąż był dentystą — zostawił jej wytwornie urządzone trzypokojowe mieszkanie i kilkanaście drogich futer, dziś więc młoda wdowa jest na nasze stosunki właściwie milionerką, co jednak nie przeszkadza jej pracować w charakterze kawiarnianej kelnerki.

Ulica Serdeczna leży w centrum. Ona sama i przyległe do niej ulice (że wspomnimy choćby Nepköztarsasag) to stare centrum przedwojennego bogatego mieszczaństwa budapeszteńskiego. Nepköztarsasag to łódzka Aleja Kościuszki, tylko jeszcze szersza i parę kilometrów dłuższa. Czasy Franciszka Józefa i monarchii austro-węgierskiej mieszają się tu co krok z nowym życiem.

W Budapeszcie jest tyle do oglądania, że gdyby nie pomoc inżyniera M. i jego „Moskwicza" trudno byłoby w ciągu trzech dni spędzonych w tym mieście zdobyć jakikolwiek obraz „Paryża Południa". Swą wielkość zawdzięcza miasto Dunajowi i historii.

Buda była tu najpierw. Wysoko położona nad Dunajem zawiera w swych murach bogactwo pamiątek. Zamki i stare kościoły, budowle, które rozsypałyby się już dawno, gdyby nie pietyzm miasta dla przeszłości. W Budzie spotkasz wiele starych domów, budowanych z kamienia i starej cegły i upstrzonych teraz wycinkami starych murów. Konserwatorzy pokryli te domy nowym tynkiem, ale tu i ówdzie pozostawili nietknięte wykroje starego kamienia, z którego te domy kiedyś wzniesiono. Jest to tak zaskakujące, że nieprzygotowanemu wydaje się, że jest to robota tynkarzy... brakorobów.

Kościół św. Mateusza na wysokim wzniesieniu, stare chorągwie królów węgierskich, wystrzępione i wysmagane burzą bitew i historii, witraże, czysty gotyk sklepień, śliczna kolorowa ceramika dachów. W Budzie wieczorem płonie na wąskich, krętych uliczkach gazowe światło, by nie płoszyć elektrycznością nastroju wieków. Zamek królewski, który tyle ucierpiał przez obie wojny światowe jeszcze do dziś otoczony jest pajęczyną rusztowań, bo prace konserwatorskie trwają. W małych restauracjach ludzie piją wino, pod sklepieniami starych bram młodzi Węgrzy całują swe dziewczęta i nikogo (chyba tylko cudzoziemców!) to nie dziwi.

Trud wejścia na strome uliczki Budy opłaci się: oszołomi cię wieczorny widok na Peszt, na morze świateł nad Dunajem, na wyspę św. Małgorzaty, na mosty rozpięte nad nim i na ogrom miasta. Przez tę rzekę przeprawiały się kiedyś rzymskie legiony, a ich wodzowie nieśli tu oprócz żądzy podbojów również rzymski styl życia i materialną cywilizację Rzymu. Wśród nowoczesnych domów zostały więc jeszcze ruiny cyrku rzymskiego. Są jeszcze ślady murowanych wybiegów na arenę, przez które wypędzano dzikie zwierzęta.

Osobna historia to budapeszteńskie metro. Krąży o nim wiele wieści z pogranicza ścisłej informacji i plotek. Że zaplanowano koszt budowy na 5 mld. forintów, że potem gdy przyszło do budowy, koszty wzrosły do 35 mld. a gdy towarzystwo belgijskie miało się podjąć całkowitej realizacji planów, okazało się, że ambicja posiadania metra będzie kosztować miasto... 80 mld. Zrezygnowano więc z tej ambicji, tym bardziej, że Belgowie za pomoc przy finansowaniu budowy domagali się prawa eksploatacji metra budapeszteńskiego przez 100 lat. Jest więc dziś w Budapeszcie metro, jego pociągi kursują regularnie, ale jest to zaledwie niewielka część pierwotnego wielkiego planu.

Myślę jednak, że gdyby nawet nie było w Budapeszcie metra, to i tak chyba rozwiązano by problem dotąd nierozwiązany ani w Łodzi, ani w Warszawie, a rozwiązany w stolicy Węgier: problem komunikacji. Z centrum usunięto tramwaje, a że autobusów jest dużo i chodzą z regularnością dobrego zegarka — nie ma kłopotów z dostaniem się gdzie kolwiek.

Imponuje Budapeszt i poziomem zaopatrzenia sklepów. Takiego wyboru artykułów spożywczych jak w tym mieście, nie ujrzysz ani w Warszawie, ani na Śląsku, ani w Łodzi (przy sposobności: serce rodaka cieszy się na widok polskiej „czystej wyborowej" w budapeszteńskich Delikatesach.

Gdy masz przyjaciela w Budapeszcie, to od tej przyjaźni — nawet gdybyś bardzo chciał — nie uwolnisz się. Wspomniany inżynier M. na przykład w ostatni nasz wieczór w Budapeszcie uczynił wszystko, zdziałał tak licznymi argumentami, tak na ostrzu noża postawił sprawę tradycyjnego powiedzenia o „dwóch bratankach", że mimo kompletnego zmęczenia trzydniową włóczęgą po mieście i jego osobliwościach trzeba było na zakończenie spędzić ostatnie kilka godzin w jednej ze stylowych knajp. Orkiestra grała tylko do słuchu, kierownik lokalu witał wszystkich w smokingu, a kelner czekał na nas przy stoliku zanim zdążyliśmy usiąść.

Na sali pełno było gości zagranicznych, jako że trwały właśnie budapeszteńskie targi międzynarodowe. Znacie przekrój takiej klientel? Gdy ją spotkacie na targach w Poznaniu, siedzą w „Magnolii" i wypijają cysterny polskiej „wodka". Ci sami kupcy i przemysłowcy z całego świata zajadali się teraz w stylowej knajpie w Budzie szaszłykiem po węgiersku popijając go winem. Nigdzie, jak okiem sięgnąć nie widziało się butelki z wódką. Oto, co znaczy zdolność do przystosowania się do warunków i... poszanowania narodowych tradycji!

Siedzimy więc z inżynierem M., pijemy wino i w pewnej chwili przychodzi nam ochota porównać importowany z Węgier do naszego kraju „Tokaj" z „Tokajem" z miejscowego baru. Okazuje się, że to rzecz nierealna, tokaju bowiem Węgrzy produkują około 40 gatunków i trzeba by dłuższych zabiegów, aby wreszcie natrafić na gatunek sprowadzany właśnie do Polski. Poza tym zaś jest faktem, że Węgrzy produkują około 400 gatunków win. Nie dziwmy się więc, że wódki pije się tu tak mało, że na ulicy tak trudno spotkać zalanego faceta. Jak się ma taki wybór do dyspozycji każdy pijący znajdzie coś atrakcyjnego dla siebie i przy tym już zostanie, a że wino jest tanie i pije się je codziennie i przy każdej okazji — rausz obywateli jest łagodny choć nieprzerwany. Zawsze to jednak lepsze, niż rausz nagły, szybki i brutalnie działający — rausz spowodowany wódką.

Rozmawialiśmy cały czas po niemiecku, ale widać było, że nasz budapeszteński rozmówca nie jest w najszczęśliwszej sytuacji, że wolałby rozmawiać w innym języku. Bo niemiecki był tu zaraz po wojnie niemal że przepędzony z życia publicznego — tak się wyraziła pogarda dla hitleryzmu. Teraz oprócz rosyjskiego uczniowie mają w szkole jeden język zachodni do wyboru (w tym również niemiecki), ale ta pogarda jeszcze została i może się zdarzyć nawet w sklepie, że zapytana w tym języku ekspedientka w jakiś sposób da ci odczuć swój stosunek niechęci czy lekceważenia.

Rozmowa toczyła się więc po niemiecku, wybaczając nam nieznajomość języka Węgrów. A z tym językiem to chyba cały dramat, jeśli przyjąć, że nawet człowiek znający kilka języków obcych, nawet łacinnik języka węgierskiego ani nie ugryzie (przez trzy dni nauczyłem się i zapomiętałem cztery słowa!). Kulturalni Węgrzy zdają sobie sprawę z tego że nie licząc „górnych" stu tysięcy znających obce języki (rosyjski i jeden z języków zachodnich) miliony Węgrów ze wsi i z małych miast w praktyce odcięte są od poznania tego wszystkiego, co niesie duch bezpośredniego międzynarodowego zbliżenia: ani jego nie zrozumiesz — ani on ciebie. Pokolenie Węgrów zaś uczących się obcych języków dopiero rośnie...

Bułgarzy zabudowali pensjonatami i hotelami niemal całe swe wybrzeże czarnomorskie

informacje zaczepki

Dowiedzieliśmy się, że ukazać się ma niebawem nowy rocznik statystyczny Łodzi z lat 1945—61. Doświadczenie z poprzednim rocznikiem uczy, że będzie to prawdopodobnie jedna z bardziej poszukiwanych książek. Stajemy się żądni cyfr i faktów. To dobrze.

●

„Książka nie jest pozbawiona braków i słabości" — pisze w „Głosie Robotniczym" Jan Kancewicz o publikacji pt. „Historia polskiego ruchu robotniczego 1864—1918). Dalej autor zarzuca pracy błędy, omyłki i przeoczenia. Najciekawsze jest jednak to, że redaktorem naukowym książki jest... Jan Kancewicz. Przypomina się pewien młody, łódzki poeta, który sam napisał recenzję ze swojego tomiku.

●

Polecamy wszystkim arcyciekawy drugi numer periodyku Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli pt. „Zeszyty Argumentów". Szczególnie interesujący wydaje się nam szkic Tadeusza Jaworzewskiego pt. „Między integryzmem a katolicyzmem otwartym". Przeczytajcie.

●

Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy przeznaczył na inwestycje woj. łódzkiego 28 milionów złotych. Wybuduje się za nie kilkanaście wiejskich ośrodków zdrowia oraz wielki ośrodek sportów wodnych w Pabianicach.

●

Bardzo nam się podoba współpraca łódzkich plastyków z łódzkimi związkowcami. Otóż, rady zakładowe postanowiły przeznaczyć pewne sumy na zakup obrazów, grafik i rzeźb, a plastycy z kolei przyrzekli otoczyć opieką amatorski ruch twórczości plastycznej. Korzyści z tej dobrze pojętej współpracy — obustronne.

●

Po raz pierwszy od wielu lat zaobserwowano spadek ilości zgłoszeń na Wydział Filologii Polskiej UŁ. Maturzyści doszli widać do wniosku, że szanse zrobienia kariery literackiej są po polonistyce daleko mniejsze niż realna konieczność pracy w zawodzie nauczycielskim.

I. W.

Wystawa „Piotrkowskiej grupy plastyków 1945"

Była wojna. Czas wielkiej migracji. W starym Piotrkowie również znalazło schronienie wielu przypadkowych przybyszy. Wśród nich było kilku malarzy.

Przyszedł rok 1945. W maju jedwo umilkły odgłosy wojny. Piotrków jest świadkiem wystawy malarskiej. Pierwszej w naszym województwie. Być może pierwszej w Polsce. Siódemka plastyków z Warszawy, Łodzi i Piotrkowa organizuje ekspozycje powstałych w czasie wojny prac. Z kronikarskiego obowiązku wymieńmy ich nazwiska: Tadeusz Cieślewski (zmarły w 1956 r.), Franciszek Gnyp, Eugeniusz Grötto-Slepikowski, Józef Kowalski, Jerzy Nidziński, Lidia Pindelska, Janina Wasiewicz.

Mija rok i grupa zwana „Piotrkowską grupą plastyków 1945" znów gości w salach muzeum. Od tego czasu istnieje grupa siedmiu plastyków, grupa niezauważana, nieodnotowywana przez prasę, a przecież fakt stworzenia na prowincji prężnej (świadczą o tym wystawy) grupy artystów jest na pewno ewenementem w krajowej skali. Dodać jeszcze należy, że nie wszyscy członkowie „siódemki" mieszkają w Piotrkowie. Mimo to zespół istnieje, artyści kontaktują się ze sobą, wystawiają wspólnie.

Trudno zmieścić w mikrofelietonie choćby krótkie notki biograficzne poszczególnych plastyków grupy. A byłyby to notki niezmiernie ciekawe. Niektórzy z artystów mają za sobą studia i wystawy zagraniczne. Wielu z nich obok twórczości sztalugowej uprawia „sztukę stosowaną". Choćby Jerzy Nidziński, autor rekonstrukcji rzeźb na Starym Mieście w Warszawie, choćby Janina Wasiewicz której prześliczne lalki pojechały w 1959 roku do Anglii jako podarunek ślubny rządu PRL dla królowej Elżbiety.

W tych dniach znów w Muzeum Ziemi Piotrkowskiej, oglądać można prace (rzeźba, grafika, malarstwo) artystów z „piotrkowskiej grupy plastyków 1945". Wystawa ta jest zarówno ciekawa jako zjawisko plastyczne, jak i jako zjawisko ekspansji kulturalnej na polską prowincję. I ten podwójny aspekt piotrkowskiego wydarzenia sprawia, że najnowsza inicjatywa łódzkiego Biura Wystaw Artystycznych zainteresuje nie tylko mieszkańców Piotrkowa.

J. W.

Które śmieci lepsze?

(Dokończenie ze str. 1)

woli — Szopen, Abratowski, przemówienie z okazji wykupienia abonamentu przez radioodbiorcę numer 5.500.000. Mamy tych radioodbiorników co? A planujemy jedno radio na czterech ludzi w Polsce.

Oglądasz wystawę — szarotki grają, spacerujesz po molo — szarotki grają, siadasz w kawiarni przed molem — szarotki grają, a obok — jak im tam — szaleją „czerwono-czarni". „Stary niedźwiedź mocno śpi", „W mogile ciemnej, zimnej" pij na wieki", „Ave Maria", „Szumią jodły na gór szczycie", wszystko tu odchodzi w rytmie samby, albo twista i wszystko pod teksty angielskie, rodem z Kolomyji. Młodzież ma prawo do życia, więc sobie tupie, klaszcze, gwiżdże, ryczy.

Ulicami też nie zawsze można chodzić, bo tłok, albo zawody motocyklowe. A wtedy trzeba płacić, lub w domu siedzieć. Szybko okazuje się, że noży w stołówce brak i małych łyżeczek. Mięso rozrywasz palcami, kompot łykasz z wielką łychą, no bo poprzedni turnus zabrał trochę sprzętu kuchennego ze sobą.

Planowanie pogody było nie najgorsze, zdarzało się słońce, ale tylko dla tych którzy wygrali wyścig na plażę. Nawet jeśli człowiek wygra walkę o miejsce pod słońcem — zaczyna zazdrościć na nowo. Ci, co zostali, mają „babel". Chcą do baru na róg — można w każdej chwili, jest miejsce i wysokoprocentowe mrożonki. Chcą się tarzać po dywanie — miejsca nie brak, a tu, na brudnym piasku, gdzie się obrócić — skwierczy ludzkie ciało polane masłem kakaowym.

Uczeni doszli do przekonania, że istota współczesnych wczasów polega na ucieczce do ciszy. Dzisiejszy człowiek ma po uszy hałasu — motorów, samochodów, motocykli, syren strażackich, zgrzytów tramwajów. Motorów przybywa, motory nie cichną. Własny telewizor, radio sąsiada, aspiracje śpiewacze pani z naprzeciwka, ryki pijaków, wrzaskliwe orkiestry w co drugim lokalu — oto zmory, od których się ucieka. Niestety, często z deszczu pod rynnę. Natura bowiem cywilizuje się, uspołecznia. Jak campingi, to i parkingi, jeżeli śpiew ptaków, to i zaimprowizowany na poczekaniu zespół jazzowy żółto-fioletowych, jeżeli szum morza, to i festiwal śpiewaków z Garwolina, jeśli piękno przyrody, to i konkurs na najpiękniejszą z GS. NBP, ZPB, albo Towarzystwa Przyjaciół Zdrowego Wypoczynku.

I w końcu zwykły człowiek sam już nie wie, gdzie lepiej odpocząć, na śmieciach pozostawionych przez tysiące wczasowiczów, czy na własnych domowych śmieciach.

J.

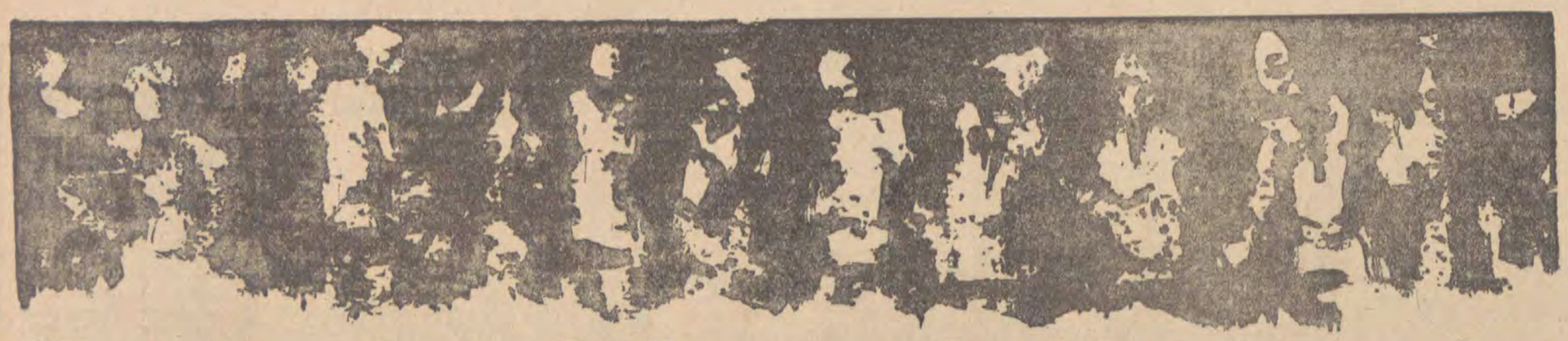

Niepotrzebni, którym odejść nie wolno

Dalszy ciąg ze str. 1

pów branżowych (z importu) pokazały przeciętnemu użytkownikowi obuwia, koszul, marynarek, płaszczy, walizek, łóżek i szaf, a nawet aparatów telefonicznych, jak ma wyglądać naprawdę nowoczesna i funkcjonalna koszula, marynarka, maszynka do golenia, walizka, tudzież łóżko, szafa itp., itp.

Przypomnijmy sobie rozpaczliwe donosy prasowe o potężnych magazynach, zapchanych „bublami", których nikt już i nigdy nie zechce kupować, nosić, ba oglądać nawet.

Przypomnijmy sobie zdumione miny sprzedawców, gdyśmy ani słuchać chcieli o oferowanej nam przedpotopowej „chale".

I dziś już nikt nie ma wątpliwości ani zastrzeżeń co do ze wszech miar uzasadnionej konieczności pracy plastyków w przemyśle.

Ale czy przemysł, akceptując współpracę, stwarza plastykom odpowiednie warunki dla ich specyficznej, trudnej i odpowiedzialnej pracy? Czy plastycy, po ukończeniu studiów, znajdują właściwą opiekę ze strony dyrekcji zakładów przemysłowych oraz Zjednoczeń?

Tą dziedziną przemysłu, której wyroby podlegają najczęstszym przemianom formalnym, zależnym od klienta pory roku, kaprysów dużych grup społecznych — jest przemysł odzieżowy. Przemysł ten, jak żaden inny, produkcję swoją, ba, istnienie opierać musi na talencie, zdolności przewidywania i kreowania gustów społecznych współpracującego z nim plastyka — projektanta odzieży. Dlatego też losy plastyków — odzieżowców od chwili ukończenia przez nich uczelni, warunki ich życia i pracy w przemyśle mogą stanowić najbardziej charakterystyczny przykład współpracy artystów z przemysłem.

W Polsce istnieje tylko jeden Wydział Projektowania Odzieży i Grafiki Żurnalowej przy Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Ten tak potrzebny wydział istnieje od paru zaledwie lat i co roku wypuszcza dziesięciu — dwunastu absolwentów. Jest więc dziś w Polsce nie więcej, niż pięćdziesięciu plastyków tej specjalności, a w porównaniu do ilości fabryk odzieżowych liczba ta jest mała. Zważyć trzeba, że absolwenci Wydziału Odzieżowego zaspokoić powinni etatowe potrzeby zakładów, produkujących nie tylko odzież „konwencjonalną", to znaczy ubrania, płaszcze, sukienki, ale także zakładów przemysłu skórzanego (obuwie, torby, paski, drobiazgi), zakładów przemysłu dziewiarskiego (odzież i bielizna wszelkiego rodzaju), zakładów przemysłu pończoszniczego; w zakres ich (plastyków) umiejętności wchodzi również projektowanie guzików, klamerek, zapinek, grzebyków itp. itp., słowem wszystko co człowiek może na siebie włożyć.

Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wielu absolwentów pracuje na zupełnie innych stanowiskach, niż to by z ich wyuczonej specjalności wynikało, a wielu nie pracuje etatowo zadowalając się pracami zleconymi czy prowadzeniem „kącików mody" w rozmaitych gazetach — to stwierdzić należy, że sytuacja gospodarzy wymienionych dziedzin przemysłu nie jest, jeśli chodzi o zapewnienie współpracy plastyków, zbyt wesoła.

Zupełnie bowiem wyraźnie daje się zauważyć niechęć plastyków-odzieżowców do pracy w przemyśle. Czym jest ta niechęć uzasadniona?

Przede wszystkim — niskim uposażeniem. Plastyk po studiach i praktyce zarabia tyle, co zwykły modelarz, a jeśli otrzymuje stanowisko kierownika komórki wzorcującej, to ma pensje wprawdzie o 200—300 zł wyższą, ale za to obarczony jest odpowiedzialnością za całokształt produkcji zakładu, w sensie, oczywiście, jakościowym. Jest to funkcja trudna, ale dawałaby plastykowi zadowolenie, gdyby nie fi tu mamy do czynienia z drugim elementem odstraszającym) stosunek dyrekcji zakładu do jego pracy.

Dyrekcji? Przecież, jeżeli tak trudno ściągnąć plastyka do pracy w przemyśle, to...

Właśnie. Ściągać to się go ściąga, różnymi przemyślnymi sposobami, ale później wcale a wcale się go nie szanuje, a pracę jego traktuje się jak piąte koło u wozu, w konsekwencji doprowadzając do ucieczki z zakładu.

Padły tu ciężkie zarzuty pod adresem przedsiębiorstw odzieżowych, niestety, są to mocno osłabione w formie zarzuty samych plastyków. Podam tu jeden z bardzo wielu znanych mi przypadków „drogi krzyżowej" plastyka przemysłowego.

W latach ubiegłych Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego przydzieliło podległym sobie placówkom etaty plastyków i w specjalnie wydanym zarządzeniu poleciło utworzenie tzw. „komórek wzorcujących", opracowujących modele dla zakładów. W roku 1960 otrzymały etat i zarządzenie m.in. Jeleniogórskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego w Jeleniej Górze. Dyrekcja rozpoczęła starania w celu ściągnięcia projektanta. Absolwenci PWSSP w Łodzi, związani z centrum kraju, lub pracujący już na prowincji nie kwapili się do wyjazdu. Wówczas Zjednoczenie zagroziło, że jeśli dyrekcja JZPO plastyka nie znajdzie — zakład ograniczy się tylko do produkcji ubrań roboczych i płaszczy z wzorów Centralnego Laboratorium w Łodzi, a to oznaczało pozbawienie zakładu jakiegokolwiek znaczenia w swoim „pionie" oraz mniejsze zarobki załogi. Obiecano więc jednemu z plastyków mieszkanie, komfortowe dwa pokoje z kuchnią, w ciągu miesiąca od chwili rozpoczęcia przez niego pracy w JZPO. Któż by na taką propozycję nie poszedł?

Minął rok, a plastyk mieszkania nie otrzymał, opłacał z własnej pensji pokój subloatorski, a wreszcie, kiedy znudzony obiecankami wymówił pracę, otrzymał dyscyplinarne zwolnienie — oczywiście po wielu groźbach i szykanach dyrekcji. Spodziewając się obrony ze strony Zjednoczenia, plastyk zwrócił się do ZPO z prośbą o interwencję. Wydział Personalny natychmiast skierował plastyka do pracy w Brzezińskich Zakładach Przem. Odzieżowego i plastyk z zadowoleniem pracę podjął. W ten sposób sprawa byłaby załatwiona zupełnie przyzwoicie, cóż, kiedy po tygodniu naczelny inżynier Zjednoczenia, Ch. W., nie bądź z racji swej funkcji w najmniejszym choćby stopniu upoważniony do załatwiania spraw personalnych, kazał po prostu wyrzucić plastyka z pracy, a w rozmowie osobistej powiedział mu, że albo ten wróci do JZPO, albo będzie pracował jako robotnik fizyczny (sic!). Mimo wielu interwencji (sprawa trafiła do gabinetu radcy prawnego ZPO oraz do prasy) ów Ch. W. swej krzywdzącej i absolutnie samowolnej decyzji nie zmienił, i w Zjednoczeniu nie znalazł się nikt, kto by się zgodnie z zasadami praworządności do decyzji tej ustosunkował. Podkreślić trzeba, że ów skrzywdzony plastyk, to bardzo zdolny fachowiec, sumienny i pracowity. Mimo to zabroniono mu pracować w którymkolwiek z zakładów, podlegających Zjednoczeniu Przemysłu Odzieżowego.

Ale to nie koniec. Zjednoczenie Przemysłu Dziewiarskiego, które również cierpi na brak wykwalifikowanych projektantów, natychmiast zaangażowało owego plastyka, dając mu do wyboru pracę w Łodzi, Legnicy, Siedlcach, Warszawie i paru innych miejscowościach (patrzcie, ile etatów wolnych!).

Ponieważ ZPD w Siedlcach oferowało mieszkanie, plastyk tam przyjął pracę. Myślicie, że na tym skończyły się jego udręki? Skąd! Musiał 2 (dwa) razy w tygodniu jeździć do Łodzi na tzw. „komisje ocen" z nowymi modelami. W sumie daje to miesięcznie około 80 (osiemdziesięciu) godzin spędzonych w pociągu (osobowy II klasa plus dwie przesiadki w jedną stronę) a trzeba za każdym razem przewozić walizki z eksponatami (ponad 20 kg wagi!).

Dyrekcja nie chciała dawać plastykowi tzw. „dnia studyjnego" (poniedziałek wolny od pracy, poświęcony na zajęcia malarskie i samokształcenie) polecając, mimo wyraźnego zlecenia Ministra Przemysłu Lekkiego, każdorazowo pisać szeroko umotywowane podania...

Dekoracje zakładów z okazji uroczystości państwowych plastycy wykonują za darmo, w czasie dnia pracy, lub po godzinach, podczas gdy za te same czynności plastycy „z zewnątrz" otrzymują według cennika po 10—20 tysięcy złotych. Jawna dysproporcja między zarobkami etatowego plastyka „przemysłowego", a plastyka „wyzwolonego", dobiła naszego, jednego z wielu, bohatera. Nie dalej, jak dwa miesiące temu pożegnał się z przemysłem. Okazało się bowiem, że nie jest, jak widać, przemysłowi potrzebny, a nie po to studiował pięć lat, żeby bawić się w tragarza ciężkich walizek.

Przykład jest charakterystyczny. Wystarczy porozmawiać z plastykami pracującymi w przemyśle, żeby zebrać furę skarg i zarzutów:

„Przemysł powinien zrozumieć, że plastyk nie pracujący etatowo a obrotny, potrafi zrobić chałturę, na której jednorazowo zarobi więcej, niż przez okrągły rok czy na wet dwa w przemyśle" — ob. H.N., projektantka odzieży.

„Mnie by się opłaciło pracować w przemyśle za pięć, no, cztery tysiące miesięcznie" — ob. H. B. zdolny projektant odzieży, zarabiający obecnie 6—8 tysięcy miesięcznie, jako „wolny" dekorator.

„Nigdy nie wrócę do przemysłu, choćby dawali złote góry. Tam źle traktują człowieka" — ob. W. S — dawna pracownica przemysłu, zdobywczyni paru nagród za eksportowe modele.

„Przemysł zapomina, że plastyk to przede wszystkim artysta, ponieważ jego praca jest praca twórcza. Kierownicy przemysłu traktują plastyka jak miernego urzędnika, czy wręcz pracownika fizycznego. Pragną „wykazać się" posiadaniem plastyków w zakładach, lecz w głębi duszy uważają ich za podrzutków, nie wiadomo na co komu potrzebnych" — ob. J. G., „uciekinierka" z przemysłu.

Zastanówmy się przez chwilę nad poszczególnymi wypowiedziami. Co należy zmienić, by uzdrowić stosunki między przemysłem, a artystami?

Przede wszystkim — płace. Studiowałem dość uważnie siatkę płac zarówno przemysłu odzieżowego jak i dziewiarskiego. Jak w innych dziedzinach przemysłu, tak i tu zastosowano dużą rozpiętość uposażeń, w „obrębie jednego zawodu" — jeśli tak rzec można.

Oto np. plastyk-projektant, w zależności od posiadanych kwalifikacji i stażu pracy może otrzymywać 1.200 zł pensji miesięcznej, lub też... 2.200 zł. Kierownik komórki wzorcującej może zarobić 1.500 zł, ale może również zarabiać i 2.800 zł miesięcznie. Pozornie niby sprawa jest prosta: młody fachowiec bez stażu, bez doświadczenia otrzymuje pensję niższą, a w miarę upływu lat i podnoszenia kwalifikacji wzrośnie i pensja. Pozornie tak to wygląda.

W praktyce rzecz przedstawia się inaczej. Dyrekcje zakładów, w ramach tzw. „obniżki kosztów własnych" (tu oczywiście jak najbardziej błędnie pojętej) z reguły oferują plastykowi najniższe stawki. Nadzieje na podwyższenie zarobku są nikłe. Znam wielu plastyków pracujących od czterech i pięciu lat w przemyśle z tym samym, niskim uposażeniem. Lecz tacy plastycy, to tzw. „gapy życiowe" ponieważ niekiedy wystarczy zagrozić dyrekcji odejściem, a już pensja podskoczy o 300 zł (np. w JZPO). Są to jednakże, co tu mówić, sposoby nie najlepszej próby, budzące rozgoryczenie plastyka, z konieczności „szantażysty", i nastawiające doń wrogo dyrekcję zakładu.

Plastyk projektujący jest dla zakładu osobą znacznie ważniejszą niż dyrektor. Dyrektorzy, jak doświadczenie uczy, są wymienni (w JZPO w ciągu dwóch lat zmieniło się kilkunastu dyrektorów!), przychodzą z innych branż, absolutnie nic wspólnego nie mających z odzieżą (np. przemysł energetyczny!), natomiast stała współpraca tego samego plastyka daje zakładowi możliwość zdobywania rynku, a więc możliwość rozwoju.

Dalej: mieszkania. Zakłady znajdujące się na prowincji (np. Jeleniogórskie ZPO, Siedleckie ZPD, Żarskie ZPO i in.) powinny w pierwszym rzędzie starać się o zapewnienie plastykom własnych mieszkań. Brak mieszkania przekreśla oczywiście możliwość przyjęcia pracy. Mieszkanie służbowe natomiast, które niby to ma być rozwiązaniem problemu mieszkaniowego dla plastyka, jest w istocie pułapką, z której choć trudno, to jednak każdy się wyrywa.

Niedawno np. przyjąwszy pracę w Siedleckich ZPD plastyk otrzymał mieszkanie służbowe. Bał się jednak sprowadzać meble, urządzać — ponieważ wiedział, że w przypadku nieporozumień z dyrekcją zakładu będzie musiał ustępować, rezygnować ze swoich przekonań zawodowych, a nawet ambicji, byle utrzymać mieszkanie. W razie rezygnacji z pracy, mieszkanie należy opuścić. Tak też się stało. Dyrekcja bowiem, pewna swego, wymagała od artysty—projektanta spełniania funkcji wykraczających poza zakres jego obowiązków (wożenie walizek, dekorowanie zakładu, robienie gazetek ściennych. Jeśli dodać do tego nieudzielanie plastykowi przez dyrekcję ustawowego „dnia studyjnego" — to łatwo wysnuć wniosek, że dyrekcja, odstępując plastykowi mieszkanie służbowe uważa go za ubogiego krewnego na łaskawym chlebie.

Dalej: podnoszenie kwalifikacji. Plastyk po studiach więcej umie, niż po wieloletniej pracy zawodowej, zwłaszcza na prowincji. Paradoks? Niestety, i to bolesny. W czasie studiów plastyk ma kontakt ze środowiskiem, przegląda najświeższe publikacje żurnalowe, sam maluje, szkicuje. Plastykowi pracującemu przysługują prawa, służące podnoszeniu kwalifikacji, lecz praw tych nie uwzględniają zakłady pracy. A więc:

utrudnia się, jak tylko można, wybieranie „dnia studyjnego",

nie prenumeruje się całego zestawu pism i żurnali zagranicznych,

nie wysyła się plastyków służbowo na wszystkie ciekawsze wystawy artystyczne i przemysłowe,

nie wysyła się plastyków na organizowane często przez Zjednoczenia kursy szkoleniowe — wystarczy?

A przecież wszystko to jest zagwarantowane na piśmie przez Ministerstwo Przemysłu Lekkiego plastykowi, obejmującemu pracę. Niestety, w ramach „oszczędności" zakłady jak mogą, tak unikają wypełniania swoich wobec plastyków zobowiązań.

Dodać tu jeszcze trzeba trudności w organizowaniu dorocznych tzw. „plenerów", zgrupowań wszystkich plastyków z danego Zjednoczenia na dwutygodniowych obozach, gdzie również odbywają się bardzo potrzebne szkolenia za wodowe. Dla wielu plastyków pracujących na prowincji jest to czasami jedyna okazja zetknięcia się ze środowiskiem, poruszenia problemów artystyczno-zawodowych w szerszym gronie. Te tak potrzebne akcje napotykają, niestety, również na duże opory.

Przy tym wszystkim stwierdzić trzeba, że takie np. Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego, które ma wszelkie dane, by otoczyć opieką ludzi, od których zależy jakość i atrakcyjność produkcji, jak dotąd ustosunkowuje się nader obojętnie do trudnych problemów plastyków. Raz po raz rozlegają się skargi projektantów odzieży, którzy daremnie szukają pomocy i opieki u władz ZPO.

Należy zrobić wszystko, by uzdrowić stosunki między plastykami, a przemysłem. Ta niewielka grupa wykształconych fachowców, od których w niemałej mierze zależy nasz eksport, nasz handel wewnętrzny i powszechne, najbardziej podstawowe zadowolenie estetyczne — ta grupa ludzi nie może odejść z przemysłu. Nie wolno do tego dopuścić.

ANDRZEJ BRYCHT

---

turystyczna POLSKA B

(D.c. z poprzedniego numeru)

IRENA KRZYWDZIŃSKA

W naszej dyskusji najwięcej zarzutów padło pod adresem PTTK. Część zarzutów jest słuszna, ale z ogólną tak ujemną oceną działalności PTT-K nie sposób się zgodzić.

Z artykułu red. Uchmana wynika, że PTT-K w ogóle i absolutnie nie interesuje się wypoczynkiem. Wysuwając tak generalny zarzut autor nie odróżnia wypoczynku turystycznego od niedzielnego. A przecież PTT-K jest powołane przede wszystkim do organizowania wypoczynku turystycznego, a nie niedzielnego, osiadłego, o jakim dzisiaj najwięcej mówimy, i o jaki najbardziej chodzi.

W ośmieszający sposób zrelacjonowano czytelnikom „Odgłosów" sprawę naszego jedynego ośrodka campingowego w Teofilowie. Z ośrodkiem tym mamy wiele kłopotów. Borykamy się z nimi, mimo iż naszym zadaniem nie jest prowadzenie tego typu ośrodków, bo PTT-K nie dysponuje funduszami na ich budowanie i eksploatowanie. Camping w Teofilowie uruchamiamy rok rocznie dokładając do niego w każdym sezonie 20 tys. zł. Deficyt bierze się po prostu stąd, że ośrodek przynosi dochody, minimalne zresztą w soboty i niedziele, a licznik kosztów eksploatacyjnych „bije" cały tydzień. Nie wiem wobec tego, czy słuszne jest kierowanie pod naszym adresem żądania, abyśmy tego rodzaju deficytowe przedsięwzięcia mnożyli.

Jeżeli idzie o wypoczynek turystyczny, to w tym zakresie robimy niemało. Red. Uchman podaje, że oddział łódzki PTT-K dysponuje trzema kajakami na ogólną liczbę 6 tysięcy wodniaków. Prawda. Ale przecież nie wszyscy wodniacy chcą kajakować na Pilicy. Olbrzymia ich liczba wyjeżdża na Mazury, na Wigry czy na jezioro Drawno i tym zapewniamy sprzęt na miejscu. Od obowiązku organizowania turystyki na terenie województwa łódzkiego nie chcemy się uchylać, ale przecież my nie możemy tworzyć dla niej bazy, bo nie mamy na to środków.

Zarzucono nam indolencję w zakresie informacji. Rzeczywiście w tej chwili nie umiemy i jeszcze przez jakieś pół roku nie będziemy umieli szczegółowo poinformować, gdzie amator niedzielnego wyjazdu znajdzie interesujące go miejsca i urządzenia. No bo po prostu nie dysponujemy pełną ewidencją obiektów, przeznaczonych dla doraźnych amatorów „zielonej trawki". Obiektów takich mamy niewiele w województwie, PTT-K w ogóle nimi nie dysponuje,

EWA OSTROWSKA

OBALENIE MITU

OPINIA, która krąży o Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym, OPINIA, na którą powołują się już nie tylko publicyści i dziennikarze, lecz również i przeciętni obywatele, uzasadniając swoje skargi, pretensje i zażalenia oraz argumentując zarówno PRZECIW jak i ZA, OPINIA, która zrobiła zawrotną karierę, a głosząca że: „ŁÓDZKI OŚRODEK TELEWIZYJNY JEST PO WARSZAWIE NAJLEPIEJ WYPOSAŻONYM, NAJNOWOCZEŚNIEJ URZĄDZONYM STUDIO W POLSCE" wskazuje na szlachetne tendencje kultywowania mitologii.

Cały szkopuł w tym się mieści, że mity, nawet najchwalebniejsze, zawierają istotne niebezpieczeństwo.

PRZYPOWIEŚĆ PIERWSZA: O CHWALEBNYM ZMARTWYCHWSTANIU

Historia Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, choć krótka, jest niewątpliwie znamienna.

Pierwsza audycja telewizyjna w historii naszego miasta odbyła się sześć lat temu, 22 lipca 1956 roku. Oznaczała powstanie Telewizji—Łódź. Montaż nadajników telewizyjnych odbył się w tempie szybkościowym — trwał niepełne dwa tygodnie. I oto, z adaptowanych pomieszczeń na 15 piętrze wieżowca przekwalifikowanych z klasy pomieszczeń biurowych na klasę nowoczesnego studia telewizyjnego, popłynął tegoż 22 lipca historyczny sygnał TV Łódź. A więc metafora w podtytule nie jest żadną złośliwością. To było formalne i obiektywne — chwalebne zmartwychwstanie.

PRZYPOWIEŚĆ DRUGA: O CZASIE, KTÓRY...

...oznacza progresję. Ale nie w przypadku Ośrodka Łódzkiego.

Owszem, to i owo z biegiem czasu zmieniło się na korzyść. Sygnał na przykład. Ładniejszy od „Prząśniczek". I nie tylko sygnał. Po trzech latach TV—Łódź otrzymała nowy lokal (przypuszczam, że właśnie on stał się przyczyną powstania OPINII). Ponadto TV—Łódź dostała dodatkowe urządzenia, które pozwoliły początkową moc nadawczą zwiększyć siedmiokrotnie.

Progresja techniczna zapewnia warunki odbioru programu — dobre i dostateczne dla Łodzi (i powiatu), Pabianic, Zduńskiej Woli, Łasku, Brzezin. Oraz oznacza — odbiór słaby, wymagający wielopiętrowych, cudacznych instalacji antenowych na dachach, dla dziewięciu powiatów woj. łódzkiego. Oraz oznacza brak możliwości odbioru programu dla jedenastu powiatów woj. łódzkiego. Inaczej — do 50 kilometrów program — załóżmy optymistycznie — pozwala się odbierać. A dalej? Nie pozwala się odbierać.

Powiedzą państwo: „najbliższa jest ciału koszula", więc co może obchodzić obywatela — łodzianina jego bliźni obywatel z Tomaszowa Mazowieckiego, którego progresja techniczna nie dotyczy?

PRZYPOWIEŚĆ TRZECIA: O POTOPIE

Potop nie grozi, koniec świata też nie, tylko... awaria. Awaria nadajnika, który od tego podniosłego, historycznego momentu, a więc od lat sześciu, pracuje bez remontu i ma na swoim koncie piętnaście tysięcy godzin — istne perpetuum mobile. Ale co będzie, jeżeli to perpetuum mobile „wysiądzie"? Jeśli nastąpi awaria oznaczająca koniec TV—Łódź?

Ta fatalistyczna koncepcja posiada uzasadnienie w faktach. Bo oto: sześć lat pracy i piętnaście tysięcy godzin wystarczająco obciążyły konto nadajnika telewizyjnego, a remontu przeprowadzić nie można z tej prostej przyczyny, że nie ma rezerw. Dla remontu należałoby bowiem przerwać program. A nadajnik coraz częściej się psuje. Jeżeli w 1960 roku w sumie było awarii na pół godziny, to już w r. 1961 — na dwie godziny. Telewidz przerw w programie nie zauważa, ponieważ — ponieważ ani jedna audycja nie została odwołana z powodu awarii technicznej w ciągu sześciu lat — w tym miejscu kwiatek dla inżynierów i personelu technicznego TV—Łódź, ale i nawet oni są bezsilni wobec sił wyższych: braku rezerw, i braku części zamiennych, które pozwolą przeprowadzić kapitalny remont nadajnika. Co prawda Centralny Zarząd Radiostacji i Telewizji w Warszawie oficjalną decyzją zapewnił ŁOT, że części zamienne nie bawem będą i problem rezerw zostanie rozwiązany do czerwca br., obecnie mamy koniec lipca i żadne znaki na niebie nie wskazują na zmaterializowanie się tej decyzji Centralnego Zarządu z Warszawy.

Wieżowiec, w którym mieści się telewizja jest imponujący to fakt. Tylko ŁOT nie posiada elementarnych urządzeń. Mówi się — lokal. Piękny, idealne warunki. Ale ten lokal nie posiada magazynu, po każdym większym programie cały ŁOT zapełnia się dekoracjami i rekwizytami, które po jednorazowym wykorzystaniu trzeba, niestety, demontować, a to pociąga zwiększenie kosztów audycji. Mało tego — ŁOT dopiero niedawno otrzymał etaty rzemieślnicze, a tak musiał stolarzy i malarzy wypożyczać z różnych spółdzielni.

Państwo narzekają na szmery i trzaski w trakcie audycji? — To podłoga skrzypi, ŁOT nie otrzymuje funduszy na zmianę nawierzchni Studia. Również przez sześć lat ŁOT nie wyprosił funduszy na sprawienie magnetofonu reporterskiego. Więc co tu skarżyć się, że nie ma wozu transmisyjnego?

W ubiegłym roku Baza musiała zrezygnować z importowanego urządzenia laboratorium, gdyż nie było gdzie go zainstalować ponieważ nie dysponuje lokalem na laboratorium. (plotka głosi, że w kompleksie wieżowca bez specjalnego trudu znajdzie się nadwyżka metrażowa, ale ta nadwyżka jest własnością Zjednoczonego Przemysłu Jedwabi i Bawełny). Aha, państwo nie wiedzą co to jest Baza?

Otóż ŁOT, to niezwykle skomplikowana placówka. Składa się z czterech różnych instytucji, z których każda podlega innej instancji wyższej, ale jednocześnie wszystkie cztery tworzą właśnie ten Łódzki Ośrodek Telewizyjny i mają „robić" telewizję dla Łodzi. I tak: 1) TON — czyli Telewizyjny Ośrodek Nadawczy jest placówką podległą Ministerstwu Łączności, 2) Zespół Techniczny ŁOT — organizacyjnie podlega Naczelnej Rozgłośni w Warszawie, programowo redakcji ŁOT, technicznie — kierownictwu technicznemu TV Warszawa. 3) Naczelna Redakcja ŁOT podlega kierownictwu programowemu w Warszawie i 4) Baza Filmów TV podlega Zakładom Produkcji Filmów TV w Warszawie. Komu pogratulować podobnej przemyślności? Ścieżki wiodą prosto do stolicy. Politycy warszawscy, specjaliści od administracji i hierarchicznej zależności, mają głowy nie od parady.

Ośmieliłabym się przemianować Łódzką Bazę Filmów TV na Bazę Prac Syzyfowych, gdyż suma powierzchni lokalowej Bazy równa się 50 m kw., w tym lokal pierwszy: 30 m kw., lokal drugi: 15 m kw., lokal trzeci: 5 m kw. — łącznie 50 m kw., służących jako montażownie, pomieszczenia dla operatorów i asystentów, dla kierownika produkcji, ekonomisty, a również jako magazyn taśmy filmowej, magazyn taśmy do montażu, magazyn części zamiennych do kamer, do sprzętu oświetleniowego, jako ciemnia filmowa, fotograficzna — łącznie spełniają jedenaście różnych funkcji. To się nazywa ekonomiczne i oszczędne zagospodarowanie lokalu!

Wyposażenie Bazy przypomina okres kina niemego. Kamera stuprocentowa, dźwiękowa? — To już luksus cywilizacyjny! Laboratorium?... Poleca się po prostu obróbkę taśmy Spółdzielni „Fotooptyka", co podnosi o 100 proc. koszt wywołania jednego metra taśmy i zwiększa dziesięciokrotnie czas obróbki taśmy (w warunkach laboratoryjnych — tych fikcyjnych, oczywiście — 100 metrów taśmy można wywołać w trzy godziny, w spółdzielni trwa to trzydzieści godzin). Ale Zakład Produkcji Filmów TV w Warszawie najwyraźniej troszczy się o rozwój... łódzkiej spółdzielczości. Plany rozwoju Centralnego Zarządu nie dotyczą Bazy w Łodzi, w ogóle jej nie uwzględniają. Baza ponadto nie posiada: sali projekcyjnej, pracowni zdjęć kombinowanych własnego transportu. Tu już nie przesadzajmy — są przecież taksówki, prawda?

W takim razie jeżeli tego wszystkiego brakuje w jaki sposób Baza robi filmy? — trochę się żenuję wyjaśniać. — Baza, proszę państwa, korzysta: z kamer, stolika montażowego i... 4 reflektorów z kablami. Tak, na szczęście są kable do reflektorów.

Chociaż Centrala nie raczy dać łódzkiej Bazie szansy na przyszłość to jednak podstawowym obowiązkiem Bazy jest wykonywanie filmów dla Centrali. W 1961 r. dla dziennika telewizyjnego Baza nakręciła 243 tematy. Ogółem zresztą prace Bazy w ciągu tego roku można przeliczyć na 10 filmów fabularnych.

W warunkach takiej progresji tworzenie nawet jakiego bądź programu telewizyjnego byłoby nie tylko dużą sztuką, ale i poważnym sukcesem. A jednak cokolwiek złego nie mówi się o programie ŁOT, posiada on również i bardzo dobre pozycje. Pomimo, że inne ośrodki terenowe posiadają lepsze warunki techniczne i budżetowe, a Łódzki Ośrodek jest najgorzej finansowany przez Centralę, i posiada najmniejszą ilość etatów i najgorzej opłacanych pracowników — pomimo tych wszystkich obiektywnych trudności ŁOT produkuje program bez porównania lepszy, ambitniejszy, konkurując jak dotąd nie tylko z ośrodkami terenowymi lecz przede wszystkim z programem warszawskim. I tak, Łódzki Teatr Popularny zalicza się do czołowych pozycji polskiej telewizji, a ktoś dowcipnie zauważył kiedyś, że połowa najbardziej popularnych audycji rozrywkowych robiona jest w Łodzi: 50 proc. czyli Kabaret Starszych Panów — nadaje Warszawa, a drugie 50 proc. czyli Muzykę Łatwą i Przyjemną — Łódź. Do niedawna mieliśmy także swój udział w audycjach publicystycznych, myślę tu o publicystyce młodzieżowej wysoko ocenianej przez znawców i przeciętnego telewidza.

Nawet nieszczęsne programy lokalne, istotnie często słabiutkie, w porównaniu z programami lokalnymi innych ośrodków terenowych okazują się nieomal arcydziełami, chociaż minuta programu lokalnego Łodzi kosztuje tylko 83 złote.

PRZYPOWIEŚĆ OSTATNIA: O ŚPIĄCYM CZYNNIKU SPOŁECZNYM

Wiesław Machejko napisał w artykule o TV Poznań: „Dyrektor ŁOT zatwierdził audycję, reżyser z entuzjazmem brał ją na warsztat, a mityczna dłoń w Warszawie bez słowa ją odrzucała, na co bez słowa godził się i dyrektor i reżyser. Warszawa nie mogła poważnie traktować Łodzi. Jeśli bowiem ktoś nie potrafi obronić swego zdania należy go poprowadzić za rączkę".

Twierdzenia W. Machejki można by potraktować jako kiepski żart, gdyby nie to, że są one przykładem rażąco niesprawiedliwej i krzywdzącej ŁOT oceny. Bo czy nie jest to zbyt wielka odpowiedzialność, jaką obarcza się kierownictwo ŁOT

w liczbie osób pięciu — winić się ich i za jakość programu, i za stan techniczny, i za budżet, i wreszcie za ową rzekomą bierność wobec Warszawy. Inne ośrodki terenowe, które powstały dużo później od łódzkiego, potrafią mniej lub więcej skutecznie przeciwstawiać się monopolistycznym zapędom Warszawy — ale dysponują pomocą, którą poszczycić się do tej pory nie mógł Ośrodek Łódzki, pomocą tak zwanego „czynnika społecznego". Nasz rodzimy czynnik spał sobie przez lat równo sześć, nie istniał w ogóle dla łódzkiej Telewizji, owszem, odnajdywał się wtedy, gdy zachodziła potrzeba skrytykowania i zwymyślania ŁOT. Ani złotówki w ciągu sześciu lat swego istnienia ŁOT nie otrzymał od społeczeństwa łódzkiego, podczas gdy w Gdańsku portowcy ufundowali swojej TV brakujące etaty, szczecińska TV powstała w ogóle z dotacji społecznych, wrocławska — to samo, w Katowicach górnicy opłacają całe programy. Tam nie są znane kłopoty z budżetem, z honorariami, z częściami rezerwowymi, z wozem transmisyjnym. A w ciągu 6 lat czynnik społeczny Łodzi nie zdobył się — po co tu marzyć o wozie transmisyjnym, o drugim nadajniku, o łączach, o przemiennikach — jeżeli niezdobył się nawet na ofiarowanie magnetofonu dla ŁOT. Czynnik społeczny był wszędzie, inicjował różne akcje społeczne, począwszy od zbiórek złomu i makulatury, a skończywszy na monumentalnych pomnikach. Sześć lat potrzeba było łódzkiemu czynnikowi społecznemu, aby wreszcie, kiedy w każdej chwili grozi generalna awaria nadajnika, ukonstytuował się w Społeczny Fundusz Rozwoju dla Łódzkiej TV.

Więc może, gdy mit o ŁOT został obalony, poszukamy winnych także wśród siebie? Chociaż nie, szkoda czasu, lepiej ogłosić ostry stan pogotowia dla społecznego czynnika. Niech uczciwie pomoże Łódzkiemu Ośrodkowi Telewizyjnemu, gdyż jego rozwój to nie tylko sprawa pięciu osób z kierownictwa ŁOT. To wspólna sprawa nas wszystkich, miasta i województwa. Jeżeli się pomaga, łatwiej wtedy krytykować.

---

dlatego oczekujący w tym zakresie wielu propozycji wychodzą od nas rozgoryczeni. Co innego w turystyce kwalifikowanej. W tej mierze poszczególne komisje prowadzą szczegółowe poradnictwo.

Chciałabym bardzo, ażeby w naszych rozważaniach na temat zaplecza wypoczynkowego w Łodzi wyraźnie rozróżniano pojęcia turystyki kwalifikowanej i wypoczynku osiadłego, którym PTT-K jako takie zasadniczo nie zajmuje się, a mimo to obciąża się je odpowiedzialnością za jego niedorozwój.

WACŁAW ZATKE:

Prosiłbym o wyjaśnienie, co właściwie znaczy taki fragment w artykule red. Uchmana: „Urzędniczki bezradnie rozkładają ręce. — My też chciałybyśmy, ale... same co sobotę bezskutecznie studiujemy mapę i niczego nie możemy wypatrzeć, jak więc mamy radzić innym?...". Od kiedy to funkcją urzędnika jest rozkładanie rąk? Taki styl musi ulec radykalnej zmianie, bo urzędnikowi za to płacą, żeby wiedział, co i gdzie się dzieje. Na to, żeby urzędnik wiedział, nie potrzeba aż pół roku. To jest kwestia godziny i paru telefonów, żeby otrzymał od nas i od innych instytucji, zajmujących się turystyką, dokumentację. Może ta dokumentacja nie będzie pełna, ale w ten sposób spławiać klientów nie wolno.

IRENA KRZYWDZIŃSKA:

Nie wiem, kto tak odpowiedział i czego miała dotyczyć informacja. Trudno mi więc podjąć dyskusję.

WACŁAW ZATKE:

Chodziło o informację turystyczną.

IRENA KRZYWDZIŃSKA:

Takiej my na pewno udzielamy. Oczywiście nie zawsze ona odpowiada zainteresowanej osobie, może być nie wyczerpująca. Niekroć pracownik nie jest w stanie od razu odpowiedzieć na pytanie, to kontaktuje się z odpowiednią komisją turystyki kwalifikowanej. Staramy się udzielać pełnych informacji.

WALDEMAR UCHMAN

Nie istotne jest, kto tak powiedział, istotne, że tak w PTT-K się mówi. Rzeczywiście dosyć ostro napisałem o tej organizacji. Głos p. Brzozowskiego świadczy, że w swej ocenie nie jestem odosobniony. Mówiono tu, że PTT-K powinno organizować wypoczynek niedzielny. Moja preopinentka powiada, że Towarzystwo to jest od innych celów, od turystyki kwalifikowanej, więc wina z PTT-K spada. Ale wobec tego na kogo ona przechodzi? Kto powinien programowo troszczyć się o to, żeby łodzianin wiedział, dokąd może pojechać w niedzielę i gdzie znajdzie to wszystko, czego wymaga cywilizowany wypoczynek. Dla pełnej i wszechstronnej informacji potrzebna jest mapa, a nie wystarcza sama autopsja pracowników PTT-K. Tymczasem do tej pory nie potrafiliśmy się w Łodzi dorobić przewodnika turystycznego. Inne miasta i województwa potrafiły. Mówiło się tu, że jest lepiej albo gorzej, że mamy w ośrodkach województwa 500 miejsc noclegowych. Ale która instytucja, mi wskaże, gdzie one są aktualnie wolne i która mi zagwarantuje, że otrzymam miejsce, jeżeli tam pojadę. Turysta łódzki musiałby mieć helikopter, aby oblecieć wszystkie wymienione tu dzisiaj miejscowości i trafić na wolne miejsce. Tymi ośrodkami interesuje się również Warszawa i inne miasta. Jeżeli jest 15 miejsc koło Tomaszowa, to zajmą je sami mieszkańcy Tomaszowa, gdzie więc ma się podziać turysta — łodzianin? Co zrobić, żeby miał gdzie się podziać?

D. c. n.

MICHAŁ SPRUSIŃSKI

POMIĘDZY NAMI

Pomiędzy nami i pomiędzy nimi
pająk zostawił pajęczyny ołów
zasnuł horyzont popiół resztę zrobił
czy wróci Odys? czy brzegi rozpozna?

Choć wojowniczy jednak kości oddał
powraca mrówką i żuka pancerzem
nie ma go w trawie nie ma głębiej w ziemi
Brzegi rozpozna przejdzie mimo ołów

Kości przyniosą układając skrzętnie
one tu barwą one popiół zdobią
Więc wrócił Odys brzeg owad rozpoznał
On tu kolorem a popiół — żałobą.

☆ ☆ ☆

Przebiegają przebiegają wielościennym korytarzem
jeszcze szepczą czułe słowa
powtarzają gestów kilka a już pierwsza
śniedź na twarzach

Sny tłumaczą jeszcze w drodze
pamięć o Nim słowo o Niej
a już szybciej oddychają
przeczuwając drogi koniec

W wielościennych korytarzach przez owady unoszeni
w delty rzek wkraczają deszczem
wiatr ich pył oddaje ziemi
przebiegają szybciej jeszcze przebiegają
Drzewo milczy Nie drgnie kamień

☆ ☆ ☆

W dzień utrwalanie czasu w przepływaniu strumieni
dawno wyschłych Odwracaniem twarzy od słońca
Rąk wznoszeniem — co oznacza tylko:
Odchodzisz Więc odszedłeś Nie odchodź Zostaje
krajobraz oddalony drzew nagle gasnących
gdy w przełamaniu świateł ginie twoja postać

Jest wejście w sen Wtedy widzi ją inaczej:
Przebiega puste sale Paw krzyczy w ogrodzie
On później wzywa sługę lecz samotny nadal
Cień jej zobaczył znów powraca w ogród
Obdziera korę z drzewa W skaleczonych dłoniach
unosi szorstką zieleń Przy świecach układa
jej imię z wosku z liści z pulsowania tętnic

Jest wejście w sen I powrót który sny tłumaczy:
Dogasły rzeki Las na przestrzał jesienią otwarty
Czas w którym razem w szelest odmienieni
w korę drzewa wejdziemy Cień nasz uchwyci oko
ptaka
Krajobraz nas nie zapamięta.

WANDA KARCZEWSKA

UWOLNIENIE

Teraz nie pozostały już żadne więzi między mną, a moją ziemią rodzinną. Nie, niekiedy jeszcze tylko, ale już coraz słabiej, odnawiała się, jak zastarzały liszaj, sprawa Małgorzaty.

Najczęściej zdawało mi się wtedy, że jej nie lubię. Naprawdę jej wtedy nie lubiłem; zaskakiwała mnie i peszyła, żeby nie powiedzieć upokarzała — bardzo nie lubimy przyznawać się do tego słowa, nie tyle zresztą do słowa, ile do uczucia doznanego upokorzenia — więc powiedzmy: Małgorzata wprowadzała mnie wtedy w błąd, upokorzyć bym się nie dał, zawsze orientowałem się nieco wcześniej do czego ona zmierza i uskakiwałem w porę przed poniżającą mnie sytuacją. Więc powiedzmy: ona peszyła mnie, odbierając mi odwagę. Musiałem stale mieć się na baczności, bo nigdy nie wiedziałem, co za chwilę nastąpi. Ta wieczna konieczność trwania w napiętej czujności wprawiała mnie w stan zmęczenia i rozdrażnienia i dlatego Małgorzaty nie lubiłem; nawet więcej niż nie lubiłem.

Przez całe tygodnie udawała, że mnie nie dostrzega; w porządku — myślałem — zakazano jej rozmawiać ze mną po tej hecy mojej pod Ratuszem; chodziła z opuszczoną głową, albo odwróconą w inną stronę; chciałem jej wytłumaczyć wszystko, dowiedzieć się, czy mimo to jest coś w niej dla mnie, nigdy jednak nie mogłem jej spotkać samej, zawsze jakby naumyślnie pełno było przy niej dziewcząt, że dwóch słów na osobności nie dało się z nią zamienić a kiedy decydowałem się mimo to dojść do niej zaczynała się między nami wobec wszystkich taka uszczypliwa rozmowa, do cinaliśmy sobie oboje, aż do łez wściekłości, że lepiej było w ogóle obchodzić Małgorzatę z daleka. O jakimś czasie umówiła się ze mną na po szkole, pozwoliła kilka razy odprowadzić się na lekcje fortepianu i nagle jakiegoś dnia, gdy pędziłem jak wariat, urwawszy się z ostatniej godziny — dostrzegłem tylko jej plecy, jej teczkę w rękach jakiegoś dryblasa; szli razem, chichocząc, oczywiście ze mnie chichocząc, oglądali się jeszcze, co ja na to, więc wykręciłem się na pięcie i — w przecznicę. A gdy już myślałem, że ona sobie tak drwi tylko ze mnie i że przestałem dla niej istnieć — nagle spotykałem ją przyczajoną za rogiem ulicy; wyskakiwała na mnie z dziecinnym „Huuu! Ale cię przestraszyłam!" Stawałem jak wryty, ona zaśmiewała się i, kładąc mi swoją teczkę na ramieniu pytała niewinnie:

— Czemu ty, Paweł, uciekasz przede mną?

Ja. Ja uciekałem.

Udało mi się umówić z nią kiedyś na wzgórzach wrzosowych, daleko za miastem, za mokradłami, gdzie z rzadka kto kiedy zaglądał, chyba pastuchy z owcami, ale i to nie, bo trawa tam była marna ziemia sucha, akurat właśnie na tyle, żeby mogły na niej rosnąć suche wrzosy i bezlistne tarniny. Nie uzmysławiałem sobie, co mnie właśnie tam popychało, chyba jakieś instynktowne szukanie chwili, kiedy w orbicie naszego świata nie będzie nikogo prócz nas dwojga; tam właśnie, na tych wzgórzach miało się stać coś, co chodziło koło nas, co nie mogło się zmaterializować, nie, nie zmaterializować, w tym przecież nie było nic materialnego. To było nieuchwytne, dla mnie przynajmniej.

Przyszła na to spotkanie w swoich pierwszych dorosłych pantoflach, nakładanych po szkole, szarych, zamszowych czółenkach na bardzo wysokim obcasie i z góry, jak tylko zobaczyłem te pantofle, wiedziałem że nic nie będzie z naszego spotkania, albo co gorzej, wszystko wypadnie żałośnie śmiesznie; tak właśnie ona wyglądała w tych pantoflach.

Nie umiała jeszcze w nich chodzić, stawiała nogi niepewnie, jakby szła na szczudłach; myślałem — udaje dorosłą, a wygląda jak szczeniak w salonie na śliskiej posadzce, który rozstawia łapy szeroko i co chwila zatrzymuje się, aby nie stracić równowagi. Jak w takich pretensjonalnych pantoflach można było przyjść na to rozstrzygające spotkanie? Minęliśmy czuby Tatarskich Gór; zatrzymaliśmy się, bo zaczynały się mokradła, ja zdjąłem sandały, ona stała niezdecydowana. Mogłem był zaproponować jej „Zdejm buty!"; mogła była iść boso, jak ja, przez podmokłe łąki, ale nim się spostrzegła, porwałem ją na ręce, też zresztą bez zastanowienia i właściwie z jakąś złością.

Była cięższa niż myślałem, wcale nie taka delikatna i krucha, jakby kto sadził, jakaś bardziej materialna, niż to się na pozór wydawało. Stąpałem po kępach kaczeńców, ich tłuste łodygi strzelały i mlaskały lubieżnie pod moimi stopami, tak właśnie, lubieżnie, pamiętam, bo mnie to wtedy zbrzydziło i podniecilo zarazem; do dziś dnia, jak zobaczę kaczeńce, to mi się podobnie robi, czasem się nawet chwytam na tym, że patrzę, czy kto nie spostrzega tego.

Małgorzata miała w wycięciu bluzki złoty medalik, zsuwał się on w zagłębienie między jej piersiami; jedną z nich, przyciśniętą do mojej piersi, czułem coraz mocniej. Z początku to całe niesienie wyglądało niewinnie, potem zauważyłem kose spojrzenie Małgorzaty nieuchwytnego", stało się podejrzane. Usłyszałem głos pewnej dziewczyny o zbyt dużych czerwonych wargach: „No chodź, co się tak trzęsiesz, pewnieś jeszcze tego nigdy nie robił? Będziesz się umiał potem zabrać do swojej panny!".

Spojrzałem na Małgorzatę. Miałem nadzieję, że to jej niewinne, okrągłe, króliczе oczy pozwolą mi wydostać się z psychicznej mazi; gąsienice pełzające po liściach zostawiają za sobą taki obrzydliwy klej, w jakim ja się teraz zdawałem poruszać. Ale Małgorzata miała opuszczone powieki, nad wargami zęś — kropelki potu. Napełniło mnie to wstydliwą złością: — dlaczego ona nie czuje co innego niż ja i nagle pochyliłem się nad wycięciem jej sukni i... w ostatniej chwili opanowałem się na tyle, że schwyciłem zębami tylko ten medalik. Lekko jednak musnąłem wargami jej piersi; tak mi się zdaje przynajmniej.

Małgorzata dopiero teraz spojrzała mi prosto w oczy i — przestraszyła się. Szarpnęła się, ja nie przewidziałem tego ruchu, puściłem jej nogi. Stanęła w wodzie w tych swoich szarych pantoflach, opierając się o mnie, trzymałem bowiem jeszcze drugą rękę pod jej łopatkami, jakbym ją obejmował. Stała tak przez chwilę, nakrywając dłonią to miejsce, na którym spoczywał medalik, potem powiedziała i nie wiem czy pytała mnie, czy tylko tym pytaniem uświadomiła sobie, co się stało i do czego to wszystko, ta nasza droga i ucieczka od ludzi na wzgórza prowadzi.

— Coś ty zrobił?

Zdawało mi się, że słyszę wyrzut w jej głosie i ten wyrzut mnie rozdrażnił. Przecież musiała się tego spodziewać; dziewczyna w jej wieku wie po co kryje się z chłopakiem przed ludźmi. Nie byłem tylko pewien — poczuła niechęć czy lęk. A może ja ją przeceniłem — może ona jeszcze wszystko na wpół świadomie wiedziała? Wzruszyłem ramionami; opuściła głowę, jakbym ją upokorzył... tym pocałunkiem, czy tym wzruszeniem ramion?

Czego ona oczekiwała?

Więc odwróciła się i, wyminąwszy mnie poszła dalej po mokradle, kretynka, w tych swoich zamszowych czółenkach na francuskich obcasach. One w wodzie zrobiły się niemal czarne, grzęzły w podmokłym gruncie; nawijały się na nie kłącza roślin; ciągnęła to za sobą, woda mlaskała pod jej nogami i sikała z zagłębień po obcasach.

Miała w tych swoich szczudłach bardzo nieładne nogi. Myślałem — co za szmira, trzeba to jak najprędzej skończyć. Powiedziałem:

— Zdejmże te twoje szczudła i tak dostaniesz kataru; w butach czy boso.

Odwróciła się i podczas, kiedy ze mnie ciurkały całe potoki urazy i złości, powiedziała z żalem:

— Jak ciebie, Paweł, trudno zrozumieć. Nigdy nie wiem, jaki będziesz za chwilę. Dopiero co zdawało mi się, że mnie lubisz, że nawet mnie..., a ty drwisz, ty się wyśmiewasz ze mnie...

Zamurowało mnie:

— Jaaa? Mnie trudno zrozumieć?

Spojrzała na mnie z niewymowną prostotą i poczuciem swojej racji:

— No przecież do ciebie mówię. O tobie.

Czyżbym rzeczywiście ja komplikował sytuację? Czyż by rzeczywiście nigdy nie wiadomo było czego się po mnie można spodziewać? Czy może tylko zdawało mi się, że zawsze byłem prosty i szczery i oczekiwałem tego samego od innych, a w gruncie rzeczy w obawie przed zaskoczeniem piętrzyłem wokół siebie przeszkody, przez które nie można było się do mnie przebić? Nieprawdopodobne. Dobrze sobie wymyśliła.

— Nie wmawiaj mi, Małgorzato, swojego zachowania.

Myślałem, że się rozgnie-

wa, ale ona wzięła mnie za rękę i wyjąkała:

— Pawle, przecież ja ciebie zawsze... Nawet po tych rozruchach pod Ratuszem, jak byłeś ranny w szpitalu i nie wolno było cię odwiedzać, ja przyszłam do ciebie, ale spałeś... Ja zawsze...

Urwała. A ja chciałem raz wreszcie wiedzieć co „ona mnie zawsze". Chwyciłem ją za rękę, wstrzymałem oddech: dokończy? Dokończyła. Zniechęcona.

— Masz zresztą rację, wracajmy, to wszystko rzeczywiście nie ma sensu. Fryderyk ma przyjść do nas o piątej.

Zaciąłem usta, zdobyłem się na jak najbardziej bezbarwną odpowiedź:

— Wracajmy, masz rację, to istotnie bardzo ważne, nie możesz się spóźnić.

Szliśmy jeszcze chwilę po mokradle w kierunku ścieżki biegnącej po zboczu wzgórza. Ja spokojnie z niesmakiem do samego siebie; byłem oklapły, wypalony, pełen poczucia własnej śmieszności z powodu tej całej tajemniczej eskapady, zakończonej głupawym fiaskiem. Ona — obrażona. Obrażona? O co?

Tak doszliśmy do suchego gruntu; tu ja zwróciłem się od razu w kierunku domu, a Małgorzata, Małgorzata niespodziewanie przystanęła i spojrzała z niedowierzaniem:

— To ty naprawdę nie chcesz już tam iść?

Ruchem głowy wskazała wzgórza, oblepione biało kwitnącą tarniną.

Pomyślałem nagle z desperacją: dobrze, pójdę tam, zrobię to z nią przemocą nie wymknie mi się więcej. Schwyciłem ją za rękę. Pociągnąłem ją i zacząłem tam biec. Aby ona się nie rozmyśliła, abym ja się nie rozmyślił, aby się wreszcie wszystko skończyło: to wzajemne szukanie, docinanie, podchody, kluczenie, niedowierzanie wzajemne; aby to wszystko stało się jasne, bo rozstrzygnięte.

Z początku poddała mi się, biegła ze śmiechem, wołając:

— Wariacie, nie tak prędko, bo mi rękę wyrwiesz, wolniej, tchu mi brak...

Potem poczułem opór. Zwolniłem, obejrzałem się. Miała w oczach trwogę. Zapytała:

— Ale ty, Pawełku, nie zrobisz mi nic złego?

Wtedy, aby się nie odstało, co miało się stać, chwyciłem ją na ręce i, dźwigając, zacząłem wchodzić szybko na najbliższe zbocze. Minąłem pierwsze głogi, rozsunąłem niecierpliwie kolczaste gałęzie tarniny i znaleźliśmy się w ciasnej kotlinie. Położyłem ją na ziemi, nie zdążyłem jednak położyć się obok niej. Zerwała się na kolana i tak oboje klęcząc, pół w przysiadzie, wpatrywaliśmy się w swoje twarze, śledząc każde poruszenie oka, ust, w oczekiwaniu, w coraz większym napięciu.

Mięsień nad jej lewą wargą począł nerwowo drgać, w jednym oku błysnęło światełko, przez rysy przebiegł skurcz; potem jej twarz rozprężyła się. Miałem wrażenie, że płynę przez rzekę, mijam prąd zimny, wpływam w ciepłą, przybrzeżną ławicę bezpiecznej wody.

Małgorzata nie poruszała się; byłem jak sparaliżowany jej czujnością, nie wiedziałem co za chwilę nastąpi czy zerwie się i ucieknie, cy rzuci mi się na szyję, pociągnie za sobą na ziemię i powie nareszcie te słowa, które chciałem żeby powiedziała.

Tak wyglądają zapewne dwa młode wilki, które spotkały się nagle blisko, głowa w głowę, zaparły się łapami w ziemię, czekając który z nich pierwszy rzuci się — nie wiadomo — z przyjazną chęcią walki na niby, czy z ukrytą gotowością do walki naprawdę?

Zdawało się, że za chwilę odrzucimy resztki nieprzyjaznej czujności, spadną z nas maski i przemówi to, co nas do siebie pchało. Małgorzata oderwała ręce od ziemi, oparła je o moje ramiona, przybliżała swoją twarz do mojej. Jeszcze chwila, a przylgnie policzkami i tak, ukrywszy swoje oczy przed moimi, powie mi wreszcie to, na co czekałem. Ale nagle — Małgorzata parsknęła mi śmiechem prosto w nos:

— Fuj, co za maślankowate oczy! I jedno bure, a drugie zezowate! — i pchnęła mnie w pierś aż przysiadłem na piętach.

A ja? Jeszcze mnie nie opuściło całe straszliwe napięcie, a już — palnąłem, palnąłem to, co przy tym całym napięciu i oczekiwaniu wcale nie uszło mojej uwadze:

— A ty masz oczy jak prosiak, bez jednej rzęsy! I piegi na nosie!

— O ty! — teraz dopiero zerwała się na równe nogi — ty, ty...

Nie wiedziała co powiedzieć, co zrobić ze mną, wreszcie pochyliła się i uderzeniem obu rąk zbiła mnie z klęczek: przewróciła mnie i silnym ruchem zepchnęła w dół, wołając:

— Masz za prosię! Masz za wszystko!

Zbocze było strome; staczając się, próbowałem chwycić się traw, koniczyny, wrzosów. Małgorzata za każdym razem pochylała się i spychała mnie dalej. Kulałem się w dół po wrzosach; byłem wściekły i śmiałem się, kotłowało mi się w oczach: niebo, ziemia, obłoki, kolana Małgorzaty, czubki drzew na horyzoncie, spódnica Małgorzaty, jej na pół dziecinne kostki, zapach ziemi, jej okrzyki i rozedrgany śmiech:

— A masz za wszystko, widzisz, nie dręcz mnie!

Potem dopiero, gdy już leżałem na dole, nie mogąc przyjść do siebie, nie mogąc wstać od zawrotu głowy, powiedziała drażniąco, bezpieczna tutaj, na dole, na odsłoniętym miejscu:

— Teraz mnie możesz gonić! Spróbuj, chwyć mnie!

I zanim zdążyłem się podnieść — uciekła.

CROSSWORD

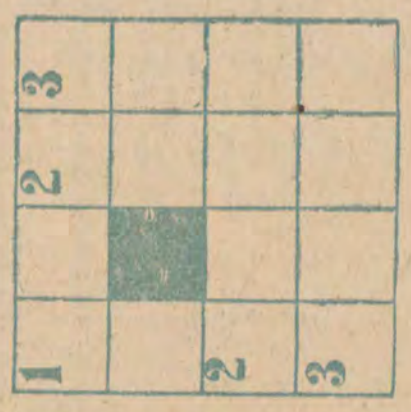

Across

1. Not front.
2. Measure of land.
3. When the sky is bleu the weather is —.

Down

1. Meat from an ox.
2. Farmes grow it in the field.
3. Half way up your leg.

OHNE BRILLE

Franz Schubert trug eine Brille. Eines Tages besuchte den Komponisten ein alter Freund. Schubert war aufgeregt. Der Freund fragte:

— Warum bist du heute so aufgeregt. Bist du krank?

— Aber nein, ich habe nur meine Brille verloren!

— Ja, dann musst du sie suchen.

— Suchen, suchen! Wie kann ich sie suchen, wenn ich keine Brille habe?

EIN GROSSER TIERFREUND

Schopenhauer war ein grosser Tierfreund. Besonders liebte er scharfe Hunde. Einen solhen Hund hatte er in seinem Haus. Gross war die Freundschaft zwischen dem Philosophen und dem Hund.

Eines Tages kam zu Schopenhauer sein Nachbar und sagte:

— Herr Professor, Ihr Hund hat meinen Hahn gefressen.

— Wann hat er das gemacht? — fragte Schopenhauer.

— Vor fünfzehn Minuten, Herr Professor.

— Ich danke Ihnen. Gut, dass Sie es mir sagen. Heute bekommt mein Hund schon kein Abendessen.

HE LOST

Two school-boys were invited by their aunt to spend their holiday in the country. But she wanted to have only one of them as her room was too small for both. Soon one of the boys arrived. The aunt asked:

— How have you and your brother decided who is to come.

The boy answered:

— We tossed for it.

The aunt said:

— Oh, indeed, and you of course, were the winner?

— No, I lost.

SIE WUSSTE NICHT

Ein bekannter Philosoph lebte sehr schlecht mit seiner Frau. Sie verstand ihren Mann nicht; sie war auch eine schlechte Hausfrau und Köchin.

Eines Tages kochte sie ein sehr schlechtes Mittagessen. Das Fleisch war so hart, wie ein Stein. Der Philosoph fragte:

— Was hast du wieder gekocht? Das Fleisch ist so hart, wie Steine. Die Kartoffeln schmecken wie Seife. Hörst du, was ich sage?

Aber die Frau hörte nicht zu, was der Mann sagt. Er wurde sehr nervös und warf das Fleisch zum Fenster hinaus.

Die Frau des Philosophen lächelte ironisch. Sie nahm den Teller und warf auch die Kartoffeln zum Fenster hinaus.

— Was soll das bedeuten? — fragte der Philosoph erstaunt.

Die Frau antwortete sehr ruhig und lächelte weiter:

— Ich dachte, du willst dein Mittagessen im Garten essen.

TADEUSZ PAPIER

Magdalena

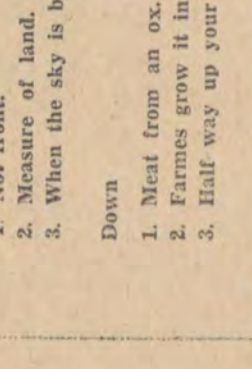

o rannej godzinie

8

Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny" przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Niektórzy goście weselni, zwłaszcza kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.

Niestety, i ta randka nie przynosi naszym bohaterkom zadowolenia. Dziewczęta składają wizytę Geografowi, który nakłania Magdę do kontynuowania nauki. Magda „wpada w oko" Kostkowi, synowi Geografa. Na scenie zjawia się także Narcyz. Pewnego dnia Mariola nie przyjeżdża na noc do domu. Budzi to uzasadniony niepokój Magdy i ciotki.

Mariola jednak nie przyjechała. Rano także nie dała znaku życia. Mogłaby przecież zadzwonić, wariatka. Nie trzeba mówić, jak byłyśmy z ciotką zaniepokojone. Nie wiadomo, kto bardziej, ciotka czy ja. Przed odjazdem do pracy ciotka zleciła mi mnóstwo robót. Po południu miał przyjechać Kostek, ale wiedziałam, że ciotka nie dla niego robi te porządki. Nie chcę mówić, ale gdybym miała cień podejrzenia, że to chodzi o Kostka, wysiadłabym natychmiast. Postanowiłam sobie, że dam mu dzisiaj porządną szkołę. Odpłacę mu za listy i za natręctwo. Ciotce też odechce się swatów. Boże, jaka ta ciotka była naiwna. Nie chcę przechodzić z rąk do rąk jak pierwsza lepsza z brzegu. Pan zna moją historię, więc nie muszę dużo mówić o tym. Zgadza się, dawniej marzyłam o bogatym mężu, potem przyszedł Boruta, ale z Boruta koniec pieśni, Narcyz też zaczął mi zawracać głowę, każdy kto mnie spotka, patrzy na mnie jak na rzecz do wzięcia. Nawet Geograf nie ustrzegł się od przezwania mnie niebezpieczną Armidą. Sprawdziłam w encyklopedii i już wiem, co miał na myśli stary Globus. Wydaje mi się, że jednak Geograf pokręcił, bo to nie ja Kostka, ale Kostek mnie chciał nabrać na miłość. Ani Kostek nie będzie moim słodkim Rinaldem, ani ja zalotną Armidą. Przysięgam panu, wcale nie miałam ochoty grać roli idiotki, która poluje na mężczyzn. Zresztą pan wie, że to na mnie polowano. Przepraszam.

Pan przyzna, że dobrze zrozumiałam ciotkę. Ciotka bała się, żebym z nudów nie prysnęła do miasta. Jasne, przestraszyła się Mariola. To ja odgadłam od razu, kiedy mi zaczęła wydawać te zlecenia. Boże święty, ależ miała wtedy minę. Można ryczeć ze śmiechu i płakać, co kto woli. Zarządziła porządki jak na wielkie święta. Za robotą nie przepadam, kto lubi pracować, może pan? — ale jeśli już coś robię, to szybko. Nie lubię dłubaniny. Cholera mnie bierze na takie dziewczyny, które jeden talerz mogą zmywać godzinę. Ceśka, ta wróżbiara z więzienia, była taka. Tę jedną wadę miała, poza tym, mówiłam, przyjemna była dziewczyna. Jeśli oczywiście nie liczyć tego, co nabroiła na wolności. No więc, widziałam, ciotka odjechała z duszą na ramieniu, ale ja nie miałam ochoty pryskać. Do kogo i po co? Wyszorowałam podłogi, umaiłam dom jak na zielone święta. Dla większej hecy przystroiłam portret ciotki gałęziami czereśni. Ciotka miała portret z młodszych lat, zrobiony z fotografii, przyjrzałam mu się bliżej, z ciotki była kiedyś całkiem do rzeczy babka, nie przypuszczałabym nawet. Potem zabrałam się za ogród, powyrywałam chwasty, grządki z kwiatami były trochę zapuszczone, wreszcie wysypałam ścieżki żółtym piaskiem. Boże święty, nie opowiadam tego wszystkiego, żeby się chwalić, co pan znowu! No to powiem panu, że mogłam się nie bawić tym piaskiem, mogłam się zająć inną robotą przecież Geograf zaopatrzył mnie w różne książki, ale przyznam się, że coś mnie od nich odpychało, jednak nie były to powieści. Wolałam piasek, tu przynajmniej robota była widoczna.

Ten przeklęty dzwonek u furtki znowu się odezwał, myślałam, że listonosz z nowym listem od Kostka, tym razem się pomyliłam. Był to inkasent z elektrowni, starszy gość, wszedł klnąc, że zamykamy się jak w starożytnym zamku i on musi tracić czas. Moja wina, marudziłam trochę, bo mówię, myślałam, że to ten młody listonosz i chciałam go podrażnić. Inkasent wszedł szybkim krokiem, zły jeszcze, ale kiedy zobaczył ogród i mieszkanie, zmienił mu się humor, nie mogłam się nadziwić, jak można w tej samej sekundzie tak się zmienić. „O, do diabła! — zawołał — widzę, że stara ciotka zaczyna dbać o siebie. Może to panienki zasługa?" „Pan zna ciotkę?" — zapytałam. „Myślę, że znam — odpowiedział. — Znam ją na pamięć. Zawsze sobie z pani ciocią wypijamy po jednym. Nie robię tego, ale tutaj można. Symbolicznie, jak powiada pani ciocia". „Proszę bardzo" — odparłam i nalałam mu kieliszek. „Dziękuję — powiedział. — Taniej policzę". Gość miał humor, słowo daję, spodobał mi się, trochę mi przypominał Geografa.

Niedługo po nim przyszła ciotka i zbaraniała, kiedy zobaczyła moje porządki. „No wiesz, Magda!" — krzyknęła. A już zastrzeliłam ją tym umajonym portretem. Nie przypuszczałam, że to uczyni na niej takie wrażenie. Aż mi głupio było. Pan się domyśla, co ciotka zrobiła, w ruch poszła karafka, nie mogła się jednak powstrzymać, aby nie zapytać: „Popijasz sobie, Magda?" „Rany Boga, co ciocia mówi, był inkasent i dałam mu jednego". „Nie nabierasz mnie? — badała mnie, ale już dla lipy, bo zobaczyła rachunek. — Rzeczywiście, a ja głupia, nie zostawiłam ci pieniędzy. Skąd miałaś pieniądze?" „Swoimi zapłaciłam" — powiedziałam. Pan się domyśla, że dałam inkasentowi te setkę, którą świsnęłam w Grandce Tośkowi. Ciotka natychmiast zwróciła mi za rachunek i jeszcze odpaliła parę dych,

Dalszy ciąg na str. 10

FIVE AND SIX

The train conductor came:

— Tickets, please.

A sleepy passenger opened an eye, looked up at the conductor, and closed it again.

The conductor asked:

— Where is your ticket? Haven't you got one?

The passenger opened the other eye, and shook his head:

— No, I haven't.

The conductor said:

— Then you'll have to pay. Five and six, please. I say, wake up! Can't you hear me? Five and six.

The passenger said:

— Eleven, sir.

IT IS A FUNNY THING

— Every time I dance with you the dances seem very short.

— They are. My fiancé is leader of the orchestra.

HE IS SURE

I was sitting in the armchair one evening, when my little son came in and showed me a new pen:

— I have found it in the street, — he said.

— Are you sure, it was lost?

— Of course, it was lost, I saw the man looking for it, — replied my dear Andy.

CIRCULATION OF THE BLOOD

One day my friend was giving my little son a lesson on the circulation of the blood. He said:

— To make the subject clearer, look here, Andy; if I stand on my head, the blood, as you know, will run to my head, and I shall get red in the face.

Andy agreed.

— Now, — continued my friend, — what I want to know is this; how is that, when I stand on my feet, the blood doesn't run to my feet?

— Because your feet are not empty, — said Andy.

EIN PRINZ

Eines Tages bekam Heinrich Heine viele Manuskripte eines schlechten Poeten. Der Poet schrieb im Brief:

„Sehr geehrter Herr Heine! Ich schicke Ihnen meine Gedichte. Ich möchte Ihre Kritik hören. Ich fühle mich immer nobilitiert, wenn mich ein grosser Mann kritisiert. Ich danke Ihnen im Voraus. Mit vorzüglichster Hochachtung, Ihr N. N.".

Heinrich Heine las diese Gedichte sehr genau. Nach einigen Tagen schickte er die Manuskripte an den Autor zurück. Im Brief schrieb er sehr kurz:

„Mein Herr, Ich befördere Sie zum Prinzen".

EIN STRASSENUNFALL

Ein sehr, sehr dicker Mann schaute weder nach links noch nach rechts und bestieg den Fahrdamm. Er fiel unter ein Motorrad. Der Fahrerе leistete dem sehr, sehr dicken Mann erste Hilfe. Der Mann schrie:

— Sie sind ein Teufel, mein Herr! Konnten Sie mich nicht a u s w e i c h e n?

— Ja, das schon. Aber ich wusste nicht, ob ich genug Benzin habe.

Dalszy ciąg ze str. 9

no, forsa na razie mnie nie opuszczała.

Po obiedzie ciotka zapytała: „Mariola nie telefonowała?" „Nie, ciociu, to jest kretynka do kwadratu" — powiedziałam. „A nie dzwoniłaś do Ireny? Może ona tam się zatrzymała?" Rzeczywiście, ciotka miała rację. Jak mogłam zapomnieć o Irenie? Nakręciłam natychmiast numer szpitala, w którym pracowała Irena. Łączyłam się chyba z dziesięć razy, zanim ją znalazłam. „Halo! Irena? Tu Magda. Czy Mariola nocowała u ciebie?" „Serwus, Magda! Więc Mariola nie przyszła do was na noc?" „Nie — odpowiedziałam — więc dzwonię do ciebie". Ale Irena się nie przejęła. „Słuchaj, Magda, czy Mariola pierwszy raz śpi poza domem? Nie obawiaj się, nie zginie". „O Boże, Irena, ty nic nie rozumiesz!" — krzyknęłam. „Co cię tak nastraszyło? Nie bądź taka nerwowa" — odparła. Rzeczywiście, miała rację, bo krzyczałam do słuchawki jak wariatka. „Słuchaj, Irena, czy doktor mówił ci, że Mariola pracuje? Podobno wyszukał dla niej pracę. Jest służącą". „Magda! Co ty pleciesz! Widziałam się z doktorem, nic nie mówił. Ta mała szykuje z pewnością jakiś kant". „Zapytaj się doktora, Irena. I zadzwoń do ciotki". Położyłam słuchawkę na widelki. „Irena nie wie nic o Marioli" — powiedziałam.

Usłyszałyśmy dzwonek, ciotka powiedziała: „Idź, otwórz". „Niech ciocia idzie. To z pewnością ten wariat". Ciotka wyszła i za chwilę wróciła z Kostkiem. Żeby pan widział, jak się obydwoje krygowali. Kręcili się jak wariaci. Ciotka nie wiedziała czy iść przodem, czy Kostka puścić przed siebie. Skonać można. Zachowanie się ciotki doprowadzało mnie do szału. Kostek się ubrał jak do ślubu. Założył czarne ubranie, białą koszulę, muszkę. Muszę przyznać, że nieźle wyglądał, niejedna babka chętnie by z nim poszła, cóż, kiedy mnie do niego nic nie ciągnęło. Nie chciał siadać, chociaż ciotka podsuwała mu krzesełko, widocznie bał się o swoje kanty. W ogóle w stosunku do mnie był nieco sztywny, nie dziwię mu się, po takich listach, wyobrażam sobie, jak się bał, żebym z czym nie wyjechała. Miałam wielką ochotę przygadać mu, wystarczyło powtórzyć którekolwiek zdanie z jego listu, niechby sam usłyszał, co wypisał, ale ciotka dawała mi rozpaczliwe znaki, żebym milczała. Pomagała mi się ubierać, jakbym po raz pierwszy szła na randkę. Heca nie z tej ziemi. Wyszliśmy niemal z błogosławieństwem ciotki. Nie jestem pewna, jak znam ciotkę, czy w duchu nie mruczała jakich słów. Doczekałam się więc sukcesu, po raz pierwszy od kilku lat wystąpiłam w roli porządnej dziewczyny. Nie śmieje się pan?

Na Rzgowskiej Kostek zatrzymał taksówkę, wsiedliśmy i w dziesięć minut byliśmy na miejscu. Pan zna Przędzalnianą, te czerwone domy, park, kino „Odrę"? No właśnie, tam sobie Kostek upatrzył miejsce na randkę ze mną. Niebawem zrozumiałam dlaczego, bo jak tylko pokazaliśmy się w tym lokalu, czy ja wiem jak nazwać tę salę w Domu Kultury, w której się nie pija alkoholu, podszedł do nas kierownik. Okazało się, że był kolegą Kostka, a może nawet przyjacielem, znał bardzo dobrze Geografa, przychodził często do niego. Więc ten kierownik, szczupły brunet, dosyć przystojny, Witek mu było na imię, podszedł do Kostka, uściskał go, skłonił się przede mną, jakbym była wielką damą, mężczyźni nie potrafią zachowywać się normalnie wobec babek, albo są za ordynarni, jak Boruta, albo za uniżeni, o właśnie, lowelasowaci, dziękuję, tak właśnie nazwałabym ten sposób bycia i Witek mnie trochę drażnił, ale poza tym był to całkiem przyjemny gość. Zaprowadził nas do stolika i usiadł z nami. Kostek zamówił kawę, oranżadę i mnóstwo ciastek, a Witek wdał się ze mną w dłuższą gadkę, zaczął mnie wypytywać, czy jestem tu pierwszy raz i jak mi się podoba. No owszem, sala była bardzo przyjemna, zwłaszcza pomysł z lampami umieszczonymi koło podium dla orkiestry i ukrytymi za różnokolorowymi koszami uznałam za wyśmienity. Powiedziałam do Witka że mu ukradnę ten pomysł. Ciotka zdębieje, kiedy jej taką lampę wyszykuję. Bardzo mi się dobrze gadało z Witkiem, rzecz jasna, przeszliśmy na „ty" bez żadnych uroczystości, jakże inaczej? Sala zaczęła się powoli wypełniać, przychodziły przeważnie pary, babki na ogół były niezłe, takie jak w Egzotycznej czy Cyganerii, chociaż trafiały się i gęsi. Mówię oczywiście o zewnętrznym wyglądzie, do sumienia nikomu nie zaglądałam. „Nie obawiaj się Magda, tu porządne towarzycho" — powiedział Witek bo zauważył, że bardzo pilnie przyglądam się każdej babce, ten nawyk pozostał mi z dawnych lat. „Nie bój się, Witek, nie należę do takich, które się boją" — odparłam. „Chce powiedzieć, że tu się na ogół dobrze bawi, zobaczysz" — zauważył. Opowiedział potem historyjkę o jednym dziennikarzu, który przyszedł tutaj na reportaż, rzecz jasna, został potem na zabawie, przygadał sobie jedną dziewczynę, ale pod koniec zabawy spostrzegł, że za nim siedzi gość, którego ten dziennikarz, jako ławnik, niedawno sądził i bardzo mu tam dokuczał. „Wyobrażasz sobie takie spotkanie?" — zapytał Witek. „Cholernie ciekawe spotkanie" — potwierdziłam. „Ty Kostek, masz niebywałe szczęście, że Magda zgodziła się z tobą przyjść. Magda, gdzie się ty dotąd chowałaś?" — Witek się coraz bardziej rozkręcał. „Byłam z Mazowszem w Ameryce" — odparłam, bo co miałam mówić? „Musisz się wpisać do naszej księgi pamiątkowej" — powiedział Witek i pocałował mnie w rękę.

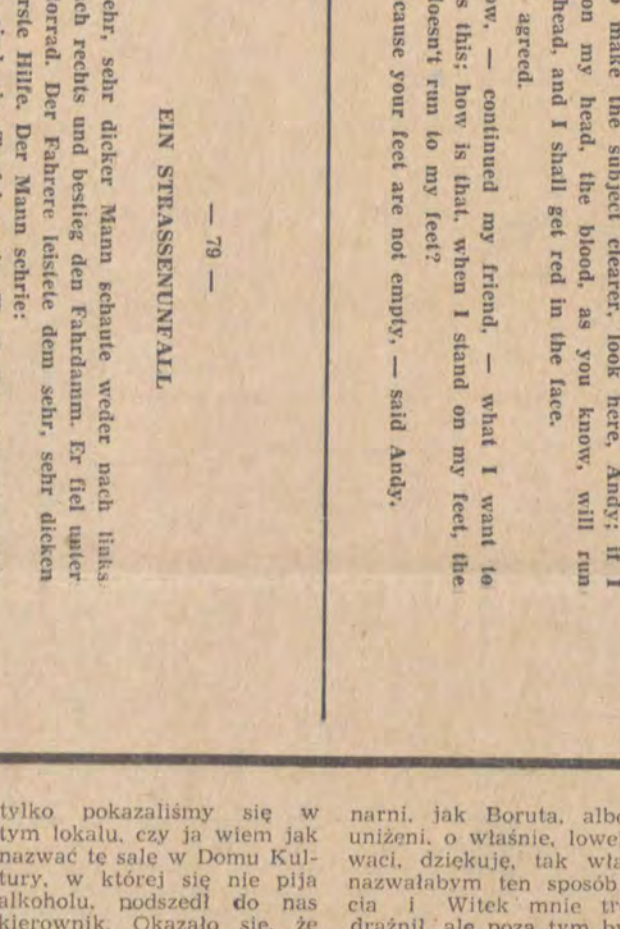

W tej chwili Kostek dotknął mojego ramienia: „Otóż i twoja niespodzianka". Jak Bozię kocham, rozmowa z Witkiem tak mnie zajęła, że zapomniałam o tej niespodziance. Obejrzałam się wokół, ale nic ciekawego nie dostrzegłam. „Co ty mówisz Kostek, jaka niespodzianka?" — zapytałam. Proszę zgadnąć, jaką to niespodziankę przyszykował Kostek. Nie zgadnie pan. Ja również nie zgadłam. Za Boga bym się nie domyśliła. Niech pan sobie wyobrazi, do naszego stolika podeszła Iśka. Nie poznałam jej w pierwszej chwili, ale to była Iśka. Nie chciałam wierzyć, że to ona. Gdzie! Do głowy by mi nie przyszło zestawić tę szykowną dziewczynę, którą miałam przed sobą, z tamtą uczennicą, spotkaną chyba dwa lata temu na Limanowskiego. Boże święty! Co się z tej Iśki zrobiło. Przede wszystkim ścięła sobie włosy na krótko, wyglądała jak przebrany chłopak. Strasznie fajnie wyglądała. Uściskałyśmy się, a Iśka zawołała: „Magda, ty powinnaś jechać na konkurs piękności. Boże, co za oczy, ja się w tobie zakocham, ja już się zakochałam". Wariatka, rzuciła się na mnie, nie obchodziło ją, czy kto na nas patrzy, zaczęła mnie ściskać i całować. Zabawa na sto dwa! Kostek i Witek ryczeli, Kostek miał łzy w oczach ze śmiechu. Strasznie byłam wzruszona Iśka. Że też mnie jeszcze pamiętała. Boże kochany! „Co słychać u ciebie, Magda? Wciąż jeszcze jesteś modelką? Nie wysłali cię do Paryża?" — Iśka zasypała mnie pytaniami. Pan sobie wyobraża, jaką mogłam mieć w tej chwili minę!

D. c. n.

TELEWIZJA SZKOLNA w ANGLII

Telewizja brytyjska zaczęła nadawać swoje programy ogólne w 1937 roku na definicji 85 linii pod egidą BBC (Brytyjskie Towarzystwo Radiofoniczne). Podczas wojny programy TV zostały przerwane i wznowiono je w 1946 roku. Około dziesięciu milionów telewizorów na 58 milionów obywateli spowodowało, że Anglia zajmuje przodujące miejsce w świecie w dziedzinie rozwoju telewizji. Dwa programy o łącznej ilości ponad sto godzin tygodniowo może stanowić godny wzór do naśladownictwa. Jeden z tych programów jest nadawany z sieci państwowej BBC, drugi — z sieci komercyjnej ITA (Independent Television Assotiation).

Telewizja brytyjska różni się znacznie od telewizji innych państw. Angielska telewizja stawia jako główne zadanie: **nauczać i informować.** Amerykańska stara się raczej zabawiać, francuska pragnie być przyjemną, dowcipną i inteligentną.

Anglicy nie ukrywają swojej sympatii dla BBC i różnie o niej, jak zresztą i o stacji niezależnej ITA — mówią. Wiadomo ogólnie w Anglii, że trzy czynniki kształtują BBC oraz ITA a mianowicie: informacja, kształcenie, rozrywka (dla BBC — rozrywka na trzecim dopiero miejscu). Różnica pomiędzy BBC a ITA polega na kolejności w ustawieniu tych czynników.

BBC opiera przede wszystkim swój program na informacji i nauczaniu. Właśnie problemowi nauczania i wychowania pragnę poświęcić dalsze rozważania. Kiedy w styczniu, 61 roku, korzystały z telewizji 2452 szkoły, to już w 62 roku — korzystało z programów szkolnych ponad 3500 szkół angielskich. Całość nadawanych emisji składa się na obszerny tom publikacji, których większość rozsyłana jest bezpłatnie do szkół, jako pomoc dla nauczycieli. Nauczyciele, mając programy, plany i wydawnictwa pomocnicze omawiające dokładnie treść telewizji mogą w odpowiedni sposób wykorzystać nadawane przez BBC audycje. Zresztą znaczna część tych publikacji sprzedawana jest uczniom, którzy chętnie korzystają z nich, jeszcze przed nadaniem telelekcji. Nakład ostatnich publikacji telewizyjnych dla szkół przekroczył ponad dziesięć milionów egzemplarzy.

„Programy BBC mają charakter pedagogiczny, dominuje w nich troska o jakość zawartego w nich materiału i rozwijanie twórczej wyobraźni" — jak powiada John Meknight, Sekretarz Rady Programu dla Szkół.

Więzy utrzymywane przez Dział Programów Szkolnych Telewizji BBC ze szkołami i władzami oświatowymi opierają się na dwóch podstawach: BBC trzyma się zawsze zasady, że jako instytucja użyteczności publicznej, posiadająca monopol w dziedzinie radiofonii, oraz nadająca program telewizyjny, powinna mieć możność nadawania programu telewizyjnego dla szkół **bez kontroli oficjalnych władz oświatowych.** Jednocześnie stosuje zasadę, że audycje szkolne powinny być objęte dyscypliną szkolną oraz wchodzić w zakres podstawowych obowiązków i przedmiotów ucznia.

Uczeni jednakże stwierdzili, że dzieci, choć z natury wrażliwe, to jednak, nie reagują zbyt silnie na nowoczesne środki audiowizualne. W czasie pobytu w szkole dzieci są pod opieką nauczycieli i dlatego na pedagogach ciąży odpowiedzialność za dobór audycji. Stąd, istnieje wytworzone niezwykle silne współdziałanie pomiędzy autorami telelekcji, a szkołami angielskimi, i to jest bodajże jedna z bardziej znamiennych cech telewizji szkolnej w Anglii. Na niej też opiera się całe dalsze powodzenie telewizji szkolnej. Doskonałe audycje BBC są wynikiem harmonijnej współpracy wielu wybitnych specjalistów — tak praktyków, jak i teoretyków. Polityka programów dla szkół jest z góry ustalana i realizowana później według tych planów. Należy zaznaczyć, że dzięki telewizyjnemu programowi, system nauczania angielskiego w zasadzie niezwykle różnorodny, ujednolicił się, co z kolei podniosło ogólne wyniki nauczania.

PIOTR SIPOWICZ

ZE ŚWIATA

Jedną z najbardziej znanych i lubianych gwiazd piosenki w Europie jest niewątpliwie Caterine Valente. Jej niebywałe sukcesy rozpoczęły się w latach pięćdziesiątych. Caterine w niedługim czasie zostaje najpopularniejszą piosenkarką Niemiec zachodnich i wkrótce poznaje ją cała Europa. Od nosi niezwykłe sukcesy w rewiach, a wreszcie, zaczyna występować w filmie. W Polsce oglądaliśmy ją w „Casino de Paris" — a oprócz tego grała w takich filmach jak: „Du bist Musik". Bonjour Kathrin" i innych. Jest nie tylko bardzo dobrą piosenkarką, ale i znakomitą tancerką (przypomina słynną przed wojną tancerkę Eleonor Powell). Obecnie Caterine Valente występuje w telewizji włoskiej, gdzie ma własny program pt. „Bonsoir Caterina". Należy nadmienić, że jest ona z pochodzenia Włoszką. Sympatię telewidzów włoskich zdobyła już od pierwszych audycji. Na zdjęciu: Caterine Valente.

* * *

Olbrzymim powodzeniem wśród telewidzów radzieckich cieszą się widowiska muzyczne, a szczególnie operetki. Są kompozytorzy, którzy piszą muzykę wyłącznie dla telewizji. Do takich należy Arkadij Ostrowskij, który napisał specjalnie dla telewizji operetkę pt. „Kiedyś, na statku". Operetka odniosła wielki sukces.

* * *

W tym roku mijają 34 lata od chwili, gdy zawodowa aktorka wystąpiła przed kamerą telewizyjną. Było to w 1928 roku na wystawie radiowej w Berlinie. Aktorką tą była sławna Pola Negri. I pomyśleć, że nie wszyscy wiedzieli, iż pierwszą w świecie aktorką telewizyjną była Polka.

TELEwizja

NIESTRAWNE BIESIADY

Państwo znajdują się w szczęśliwszym położeniu ode mnie, państwo nie muszą oglądać „Niedzielnych Biesiad". Ja, niestety, mam taki obowiązek, inaczej straciłbym posadę felietonisty. Państwo na czas trwania „Niedzielnej Biesiady" po prostu wyłączają telewizor, pozwalając mu odpocząć, a siebie nie narażając na ziewanie. O mój telewizor redakcja się nie troszczy, ani nie zwraca kosztów naprawy. „Sam, Kowalski, chciałeś zajmować się Telewizją, więc teraz, proszę, nie narzekaj". — Pomijam już koszty własne. Zło jednak leży w tym, że „Niedzielne Biesiady" odbierają mi apetyt. Nudne są, ot, i główna przyczyna.

Tak, pojmuję, — sam temat nieatrakcyjny. Trudny do „zrobienia". Prozaiczny. Zbyt życiowy i zbyt zwyczajny. To wszystko zupełnie nie sprzyja koncepcjom twórczym. Nie pozwala napisać dobrego scenariusza — bo i o czym? Scenariusz o wsi? Ależ, panie, ja mam aspiracje, taki temat dla mnie? — Tak, rozumiem: temat „od macochy", niewdzięczny, przyziemny. Nie daje okazji do rozwinięcia całego kunsztu artystycznego i twórczego.

No, ale trzeba robić „Niedzielną Biesiadę". Jakże to, powinna być audycja dla ludu. Kultura dla narodu. Już wieszcz nakazywał. Więc trzeba. Więc się robi. No i wychodzi polska wieś jak malowanie: sielska, anielska, traktory sobie jeżdżą, chłopi się uśmiechają do telewidzów, albo opowiadają, jak to plan żywca przekraczają w swojej gminnej spółdzielni. I krytyka, owszem, jest — i przyśpiewki na ludowe melodie — i kukiełki: wujcio i siostrzeniec wytykają w rymowanych piosenkach wady polskiej wsi. Potem znowu traktory, zboże się kołysze, uśmiechnięty rolnik powiada, że kosy wyszły z użycia, wszystko maszynowo, a jakże.

Nie znam się na agronomii, ani na rolnictwie. Żyto od pszenicy odróżnię, tak samo ziemniak od buraka, ale już nie jestem pewien, co jest owsem, a co jęczmieniem. Jednak po tych „Niedzielnych Biesiadach" sądząc, można by przypuścić, że polska wieś to tylko te traktory, snopowiązałki i wykonanie skupu żywca.

Ha! jeżeli tak się wydaje twórcom telewizyjnym, to ja, Kowalski nie powinienem się z nimi spierać, a tym bardziej wątpić, że może być inaczej.

Tylko, że ja właśnie ośmielam się wątpić. Wątpię również w pogląd, że „Niedzielna Biesiada" musi być z reguły sztampową, schematyczną i nudną audycją, która nie jest w stanie zaciekawić nawet samych rolników. Ponadto uważam, że „Niedzielna Biesiada" mogłaby się stać atrakcyjną audycją problemową, gdyby... trochę więcej ambicji i wysiłku poświęcili jej twórcy. Tematów wcale nie trzeba szukać, tematy same się pchają, bo wieś szanowni autorzy sielskich scenariuszy — jest obszarem znamiennych konfliktów (przepraszamy czytelników za truizm), tak tych wielkich, społecznych, jak i codziennych: ludzkich i prawdziwych. Oto pierwszy lepszy, jaki mi w tym momencie przychodzi do głowy: tzw. „ucieczki" młodych do miasta, albo — gospodarstwa karłowate, których jest coraz więcej z powodu podziałów „rodzinnych i spadkowych", albo: kultura na wsi — Wiejskie Domy Kultury albo: zabobony; albo: pieniactwo. Zresztą, ja się nie znam na rolnictwie ani na problematyce wiejskiej, więc tylko tak podsuwam „na rybkę".

Ostatnia „Biesiada" (15 lipca) nadana z Łodzi nie odbiegała od przeciętności, nie była ani lepsza, ani gorsza od wszystkich innych biesiad, oglądanych przeze mnie. Zdziwiło mnie to i rozczarowało, gdyż Łódź potrafi prowadzić zajmujące audycje „W środku Polski". A ponieważ jestem patriotą lokalnym i życzę kierownictwu ŁOT-u wyłącznie samych arcydzieł, dlatego apeluję: Drodzy z TV-Łódź! zróbcie następną „Biesiadę", bardziej strawną, a co ważniejsze: mniej schematyczną i nudną!

KOWALSKI

NAJLEPSZĄ GWARANCJĄ

stałego

otrzymywania „Odgłosów" jest prenumerata

Zgryźliwie o „Amfitrionie 38"

Od kilku lat w polskiej krytyce (stanowczo wolałbym tu słowo: sprawozdawczości) telewizyjnej, panuje uparta moda na chwalenie w czambuł wszelkich aktorskich i reżyserskich poczynań Adama Hanuszkiewicza — stąd, i chyba tylko stąd, posypały się pochwały również po „Amfitrionie 38". Nawet Jadwiga Siekierska w „Trybunie Ludu" sprzed tygodnia, potrafiła podnieść „nowy reżyserski i aktorski sukces Hanuszkiewicza", dodając co prawda, niejako dla złagodzenia komplementu, iż:

„Adaptacja telewizyjna każdej sztuki teatralnej wymaga cięć. „Amfitrion 38" też zyskał by na skrótach".

Trochę mnie to zaniepokoiło.

Zacznijmy może od skrótów. Szanuje bardzo rzeczowe i powściągliwe recenzje Jadwigi Siekierskiej, boję się jednak, że w tym akurat wypadku przechwaliła ona spektakl w dodatku dość dawno trzymając w ręku „Amfitriona" — sztuka bowiem, łagodnie licząc, została okrojona co najmniej jedna trzecia. Zniknęły bez śladu sceny 4, 6 i 7 z aktu II, oraz 1 i 2 z aktu III, czyli usunięty został cały wątek Ledy, dość chyba istotny dla ostatecznej wymowy „Amfitriona" *), nadto reszta tekstu uległa daleko idącym cięciom, niekiedy z wyraźną krzywdą i dla dowcipu i dla zamysłu Giraudoux.

Dla przykładu: z proklamacji Soszji o pokoju pozostało kilka słów. Podobnie jak kilka słów pozostało z proklamacji Wojownika o wojnie. Skreślono scenę finałową. Nie ma rozmowy Alkmeny z Amfitrionem, w której ten ostatni opowiada o wygrywaniu bitew i zabijaniu nieprzyjaciół, a zapytany o ilość sukcesów, wyjaśnia ze smutkiem: „Jedna, tylko jedna", a potem „Jednego, tylko jednego". Nie ma sceny, w której Jowisz broni się przed zgięciem do przysięgi wielkiego palca, ponieważ jest to zaklęcie, którym oddzielił kiedyś ziemię od wody, ale przymuszony przez Alkmenę — pod groźbą zamknięcia drzwi sypialni — ustępuje...

Nie z braku skrótów tedy, a przynajmniej nie tylko z braku skrótów, rodzi się ów leniwy rytm spektaklu, który tak wyraźnie zaciążył na odbiorze. Jeżeli wolno zaryzykować diagnozę, rzecz polegała raczej na natrętnym „haftowaniu" i na stosowaniu tzw. „metody granatu", co w połączeniu znakomicie rozwlokło i rozwodniło widowisko.

Tu słowo wyjaśnienia. „Metoda granatu", rodem raczej z teatru, wywodzi się genetycznie ze sztuki wojennej — tak jak żołnierz po wyciągnięciu zawleczki ma obliczyć „raz, dwa, trzy..." i dopiero cisnąć granat, tak aktor po usłyszeniu kwestii, ma najpierw odliczyć, a potem dopiero replikować. Owe milczące odliczanie wymierza tutaj pauzy, które pozwalają iskrzyć się dialogowi, ale czasem powodują również ziewanie, tak jak było w wypadku „Amfitriona 38".

I to jednak nie stanowiłoby jeszcze nieszczęścia, gdyby nie „hafty". Otóż znaczna część wykonawców — przede wszystkim właśnie Hanuszkiewicz, oraz — przykro to powiedzieć — Władysław Krasnowiecki — uparli się poprzedzać kunsztownie stylizowany, a przecież zwarty i jędrny tekst Giraudoux, rozmaitymi „bowiem", „właśnie", „tak", „nie", „ee" itp. Mnogość tych dodatków, uzupełnień, zawieszeń głosu, przeciągnięć sylab, wreszcie bardzo częste przebudowywanie całych zdań, zgodnie wprawdzie z sensem, ale nie zgodnie ze stylistyką, wpędzić mogło w czarną rozpacz, a mówię to z pełnym spokojem, ponieważ oglądałem spektakl trzymając tekst na kolanach.

Stąd dłużyzny, stąd brak rytmu, jeżeli oczywiście nie liczyć rytmicznie powtarzających się „sypek" w tekście, od których na dobrą sprawę wolna była chyba tylko, dla mnie najlepsza w spektaklu — Elżbieta Czyżewska w roli Alkmeny.

Jeszcze Kazimierz Rudzki, który odrobinę się „cukał", ale ładnie podawał tekst i to właściwie wszystko, bo Hanuszkiewicz patrzył w kamerę, słuchał suflera, starał się ładnie wyglądać, ale na granie roli nie miał już za wiele czasu.

Banalnie zrealizowany operatorsko, wyprany z inwencji spektakl „Amfitriona" wszystko co dobre, zawdzięcza jednak niemal jedynie autorowi.

JERZY PANASEWICZ

Teatr Telewizji — „Amfitrion 38" Jean Giraudoux — reżyseria: Adam Hanuszkiewicz — spektakl nadany 16. VII. br.

*) W tekście Leda — w zastępstwie Alkmeny — oddaje się Amfitrionowi, w przekonaniu że to Jowisz przybrał jego postać. Mamy tu tedy do czynienia z „krzyżową" zdradą małżeńską...

„Pan Tadeusz“ po angielsku

Dzięki uprzejmości dr Jacka Fisiaka z Uniwersytetu Łódzkiego mieliśmy okazję obejrzeć wydanie „Pana Tadeusza“ po angielsku. Wyszło ono w tym roku nakładem Polskiego Instytutu Sztuki i Nauki w Ameryce. Jest to trzecie w historii wydanie dzieła Mickiewicza w tym języku. Poprzednie — jak twierdzą znawcy — były mniej zadowalające, to zostało zrobione ze skrupulatnością i pietyzmem miłym sercu każdego Polaka. Tłumaczenie trwało 10 lat — przystąpiono doń w 1931 r.

Dwaj sławiści amerykańscy prof. George Rapall Noyes i Watson Kirkconnell przyjęli taki tryb pracy: pierwszy tłumaczył z polskiego na angielski, drugi układał przetłumaczony tekst w wierszowaną formę. Niestety, po przetłumaczeniu dwu pierwszych ksiąg prof. Noyes umarł i dalszej pracy dokonał prof. Kirkconnell. Przy tłumaczeniu korzystano z polskiego wydania „Pana Tadeusza“ dokonanego przez Stanisława Pigonia i wydanego w Krakowie w 1929 r. i z tłumaczenia angielskiego dokonanego właśnie przez zmarłego prof. Noyesa i wydanego w Londynie w 1930 r.

Tłumaczenie jest utrzymane w tonie archaizowanego języka angielskiego z XIX wieku i dobrze odpowiada „duchowi“ „Pana Tadeusza“. Ze względu na rytm trzeba było zmienić miarę wierszową. Po polsku „Pan Tadeusz“ ma 9.843 wiersze (linijki), po angielsku 12.572. Prof. Kirkconnell w trakcie tłumaczenia musiał poznać jeszcze dokładniej język polski. Jak pisze w przedmowie, z pewnymi wyrażeniami miał szczególne trudności. Tak np. nie mógł znaleźć odpowiednika dla słowa „woźny“. Istnieje wprawdzie w języku angielskim słowo oznaczające woźnego, ale szkolnego, woźnego sądowego — nie ma. Wobec tego zostawiono to słowo w oryginalnym brzmieniu. Podobne trudności miał tłumacz ze słowem „moskale“, które także zostawił w polskim brzmieniu.

„Pan Tadeusz“ po angielsku opatrzony jest dedykacją, która w wolnym tłumaczeniu brzmi następująco: „Narodowi polskiemu, który przeżył tysiąc lat chwały i męki to tłumaczenie największej pracy jej największego poety jest dedykowane z przyjaźnią i podziwem“. Pierwsza strona wydania wygląda następująco:

Pan Tadeusz
or
The Last Foray In Lithuania
by
Adam Mickiewicz (1798—1855)
Translated by
Watson Kirkconnell —
President of Acadia
University.

Wydanie poprzedza także esej poświęcony twórczości Mickiewicza pióra prof. W. J. Rose'a. Pierwsza linijka pierwszej księgi brzmi: „O Lithuania, my fatherland“.

Korespondencja „Odgłosów tygodnia“

CZY NAPRAWDĘ CZYTELNICY W TECZCE?

W związku z artykułem pt. „Czytelnicy w teczce“ przesyłamy następujące wyjaśnienie z prośbą o zamieszczenie go w najbliższym numerze.

W poprzednim numerze „Odgłosów“ z dn. 22. VII. 62 w artykule pt. „Czytelnicy w teczce“ autor niesłusznie skrytykował kierownika Oddziału Rejonowego Śródmieście PUPiK „Ruch“ Ob. I. Makówkę za rzekomo — jak wnioskować można z uszczypliwej wypowiedzi — protegowanie czytelników w podległych mu kioskach.

Przede wszystkim w miejsce kierownika O. R. winien figurować kierownik Sekcji Kolportażu Ob. Napieralski, który był autorem „niezwykłego dokumentu“ i podpisał go w/z.

Pracownikom „Ruchu“ zależy na tym, aby rozprowadzane nakłady pism trafiły do wszystkich stałych czytelników, szczególnie tych, którzy kompletują nabywane egzemplarze.

Sprzedawca z kiosku nr 106 chciałby otrzymywać nie 7 i nie 10, ale 100 „Filmów“, bo to „samo pójdzie“, a przecież jest tyle innych pism, na które sprzedawca nie zgłaszał zapotrzebowania. „Niezwykły dokument“ przekazujący sprzedawcy czytelnika wraz z tygodnikiem — „Film“, uzyskanym ze zwrotów z terenu poza miejskiego, jest dokumentem przychylającym się do prośby Ob. Heleny R. kompletującej roczniki tego tytułu.

Przypadek zrządził, że w tym czasie kiedy Ob. Helena R. zwróciła się na piśmie do „Ruchu“ o umożliwienie jej nabywania Filmu, O. R. posiadał jeden egzemplarz zwrotów.

„Ruch“, zgodnie z dobrymi zwyczajami i gospodarską troską, przychylił się do prośby petentki.

„Obrażona“ została tym ambicja sprzedawcy, który chciał otrzymywać dla znajomych 10 egzemplarzy „Filmu“ a po pewnym czasie, dzięki zwrotowi otrzymał dodatkowo 1 egz. „Filmu“ dla czytelniczki, która o to prosiła. Nie można więc traktować wypowiedzi sprzedawcy jako w pełni uzasadnionej.

Cieszy nas fakt, że za tym odrecznie pisanym „niezwykłym dokumentem“ kryje się uczciwe i sumienne podejście do czytelnika i dziwić może, że tyg. „Odgłosy“ kierował się tylko jednostronną opinią.

Wobec przytoczonych wyjaśnień uprzejmie proszę o sprostowanie notatki umieszczonej w „Odgłosach“ z dnia 22. VII 62 r., nr 29.

Kier. Oddz. Rej. Śródm.
I. MAKÓWKA

UWAGA NA WIDŁY

Do Komisji Arbitrażowej w Łodzi, dość często napływają skargi Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przeciwko instytucjom.

ZUS domaga się zwrotu sumy, którą wypłacił byłemu pracownikowi instytucji tytułem odszkodowania za wypadek przy pracy, motywując, że wypadek powstał z winy instytucji.

Nie byłoby w tym nic paradoksalnego, gdyby nie fakt, że w wielkim mieście przemysłowym ZUS niemal wyłącznie skarży... Państwowe Gospodarstwa Rolne z okolic Łodzi. A przecież zatrudnienie w PGR nie przekracza nawet 1 proc. zatrudnienia w przemyśle!

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów“

Fot. A. Kobyliński

NABIJANIE W KUCHENKĘ

Ostatnio w bramach wielu domów pojawiły się ogłoszenia administracji o warunkach i możliwościach przeprowadzenia tzw. remontów lokatorskich, czyli drobnych napraw na koszt lokatorów.

Z góry wypada przestrzec nierozważnych przed zgodą na tego rodzaju remont. Bo uderzenie po kieszeni będzie bardzo mocne.

Oto przykład: mam przed sobą rachunek, wystawiony przez zakład remontowy MZBM-Śródmieście za zainstalowanie kuchenki gazowej u ob. S. zamieszkałej przy ul. Świerczewskiego 4. Rachunek opiewa na sumę 2.602,80 zł.

Cena detaliczna najdroższej kuchenki tego typu — według informacji „ARGE-DU“ wynosi 1.950 zł. Ale „cena magazynowa“ MZBM nie wiedzieć dlaczego — już w 1.980 zł. Na dodatek MZBM pobiera 20 proc. tzw. narzutu na materiały, czyli 397,60 zł. Gdyby ktokolwiek prywatnie kupił kuchenkę a później usiłował ją sprzedać o 400 zł drożej, to prawdopodobnie dostałby się do więzienia. Ale instytucji do więzienia się nie zamyka, bo instytucja to ciało nadludzkie.

Jednak to jeszcze nie koniec zabawy. Wedle cennika zainstalowanie kuchenki powinno kosztować 45.60 zł. W naszym rachunku wszakże figuruje cena 240 zł. Skąd się wzięła? Otóż instalatorzy celem podłączenia kuchenki zmuszeni byli dorobić kilkucentymetrowy kawałek rurki. W związku z tym usługa przestała być „typowa“ i jej wykonanie obliczono za godziny, po 24 zł. Nie trzeba zgadywać, że rozkoszny MZBM kazał sobie zapłacić za 10 godzin pracy przy instalowaniu kuchenki, którą de facto dwóch ludzi zamontowało w niespełna godzinę. Ale byli przecież cały dzień pracy „zajęci“ — wypisywali kwity, pobierali towar z magazynu, asystowali przy transporcie itp.

I jeszcze pointa: to wszystko jest zgodne z przepisami. Ob. S. prawdopodobnie nie wywalczy zwrotu ani grosza. Może się pocieszać tylko tym, że jej przykład uchroni innych od naiwnej wiary, iż MZBM jest instytucją powołaną dla dobra mieszkańców.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“
Druk: RSW „Prasa“ — Łódź, Żwirki 17
Zam. 2159. VII. 62. A-4

ODGŁOSY tygodnia

ZARAZ ZGAŚNIE

Z pewnym opóźnieniem prezentujemy czytelnikom zdjęcie poniekąd historyczne, a pochodzące z IV Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu. Teatr „Wybrzeże“ pokazał tam mianowicie trzy jednoaktówki Sławomira Mrożka — „Striptease“, „Karola“ i „Na pełnym morzu“; ostatnia z nich dzieje się, jak sobie może czytelnicy przypominają, na tratwie. Trzech rozbitków przekomarza się na temat, który z nich właściwie ma posłużyć za pożywienie dla pozostałych — zacietrzewieni dyskutanci powołują się to na trudne dzieciństwo, to na pochodzenie z nizin społecznych, byle tylko nie trafić na (już, jak widać na zdjęciu, nakryty) stół.

W pewnej chwili pojawia się — płynąc crawlem — wierny, stary lokaj. Gramoli się na tratwę, wylewa wodę z kapelusza i... w spektaklu prezentowanym na Festiwalu coś w tym miejscu huknęło, trzasnęło i zapanowała ciemność. Wychłuśnięty z kapelusza strumień wody trafił mianowicie na jakiś „węzeł świetlny“ pod sceną, wysadzając korki z przyległościami. Po dobrym kwadransie spektakl dobiegł końca na światłach awaryjnych.

* * *

Niniejszy przypadek służyć może jako kolejne ostrzeżenie przed naturalizmem w sztuce.

KWESTA NA MASZT

W miejscowości Zygry na zachód od Łodzi buduje się w tej chwili wysoką wieżę żelbetową dla łączy telewizyjnych. Zapewni ona bezpośrednie połączenie na trasie Warszawa—Łódź—Poznań—Berlin. (Do tej pory przez Katowice—Wrocław).

W przyszłości na to miejsce przeniesie się z Łodzi cały ośrodek nadawczy telewizji. Jednocześnie z budową wieży planowano rozpocząć budowę gmachu stacji nadawczej, oraz masztu nadajnika o zasięgu 100 km (dotychczas ten na wieżowcu ma 30 km zasięgu). Jednak ta pożyteczna dla Łodzi i województwa inwestycja „wypadła“ z bieżącego planu 5-letniego.

Powstały ostatnio Łódzko-Wojewódzki Komitet Rozwoju Telewizji wystąpił już z propozycjami do władz centralnych, by przyśpieszyć budowę gmachu i masztu, zaprosił przedstawicieli Ministerstwa Łączności, Telewizji i innych instytucji do omówienia ewentualnego podziału kosztów. A chodzi o sumkę niebagatelną — około 12 milionów złotych. Część kosztów Komitet zobowiązuje się wziąć na siebie. Będzie to oczywiście możliwe, o ile instytucje z terenu Łodzi i województwa oraz samo społeczeństwo sypną szczodrą rączką.

Jeżeli akcja przebiegnie pomyślnie, przypuszczać można, że Zygry staną się po ukończeniu inwestycji miejscem pielgrzymek ofiarodawców, z których każdy będzie się czuł co najmniej chyba współwłaścicielem masztu.

CIASNO, ALE JASNO

Sławna wśród mężczyzn „Wólczanka“ charakteryzuje się wysoką produkcją dobrych koszul — 1.600 tysięcy sztuk w tym roku, z tego 10% na eskport, zdecydowaną przewagą kobiet — na blisko 1000 osób załogi ok. 800 to płeć piękna i ciasnotą.

Koszule mają tendencję do wzrostu, rokrocznie więcej ich idzie na rynek krajowy i — stopniowo, za granicę, do krajów skandynawskich, Kanady, Tanganiki, Libii, Ghany itp.

Kobiety mają tendencję do zwiększonego oddziaływania na „rządy“ w fabryce. Jednym jedynym inżynierem w zakładzie jest kobieta i zajmuje się postępem technicznym. Również sekretarzem POP jest kobieta i zajmuje się wieloma sprawami m. in. „wydębianiem“ od dyrektora pieniędzy na książki — na czym ją osobiście „przyłapaliśmy“.

Ciasnota ma tendencję do uporczywego utrzymywania się i ani rusz nic się rozluźnić nie da. Maszyna stoi niemal na maszynie, załoga jest w pełnym tego słowa znaczeniu zwarta, ponieważ nie ma odległości między pracownicami na salach. Na razie nie ma na to ponoć rady, a co będzie dalej — czas pokaże. Póki co, aby osłodzić sobie życie postanowiono zakład odmalować — według zasad naukowych, w myśl poleceń rzeczoznawców od dynamiki barw z łódzkiego Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. Rzeczoznawcy starali się (za ok. 3 tys. zł) poprzez odpowiedni dobór barw możliwie rozładować ciasnotę i zmniejszyć hałas. W niewielkich salach szyje na raz na maszynach kilkadziesiąt kobiet. Pomalowanie pomieszczeń na odpowiednie kolory sprawia, że hałas wydaje się być mniejszy. W „Wólczance“ układa się również nowe podłogi — ksylolitowe. Po tych zabiegach fabryka ma wyglądać „jak pudełeczko“. Przytulnie, świeżo, ciasno, ale jasno. Lepszy rydz niż nic...

id